

**Sudecka
poezja i proza**

XII

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Sudecka
poezja i proza
XII



Zdjęcie zatytułowane „Pod Górnym Młynem” pochodzące z początku XX w., przedstawiające budynek wodnego młyna zbożowego oraz grupę bielawian w strojach z epoki.

Ta fotografia stała się inspiracją dla autorów wierszy i prozy
z tego tomiku. Jest on pokłosiem
III Konkursu Literackiego
Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy.

Sudecka

poezja i proza

III Konkurs Literacki
Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

2014

REDAKCJA
dr Rafał Brzeziński
prof. Ryszard Waksmund

KOREKTA
Jadwiga Stępień
Urszula Ubych

SKŁAD I ŁAMANIE
Anna Węclewska

OPRACOWANIE GRAFICZNE
Paulina Wojciechowska-Cudak

© Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna
Bielawa 2014

ISBN 978-83-939784-2-7

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie
ul. Piastowska 19c
www.mbp.bielawa.pl
e-mail: bibliothecabelaviana@gmail.com

Poezja

Brygida Błażewicz

Stop-klatka

Zatrzymana historia
w szumie przelewającej się wody
rozbrzmiewają głosy
czas zatrzymany pomiędzy
powiekami obiektywu

młyna już nie ma
i tej pani w sukience w kwiatki
śmiech odszedł w chaosie historii
jestem ja
oglądająca czas cudzych marzeń
dotykając serc pozwalam się otulić
letnimi rozmowami przy młynie

Barbara Bulerska

Schadzka

Langenbielau pytasz
ukojenie twoje
i racz dzielnie zwiedzać
by pokrzepić swoje
ociężałe serce zagubioną duszę
każdego to miejsce
potrafi poruszyć
ja tu od kolebki
chwytam oddech czysty
i słyszę szum młyna
zwierciadeł przejrzystych
więc idź śmiało obejdź
i zwróć swoje lico
na tę górską przestrzeń
wzniosłą tajemniczą

Jakub Cieplichowicz

Pod Górnym Młynem

Wśród zieleni młyn się mieni.
Jego serce woda porusza.

Z siłą potoku koło się kręci.
Młyn zboże wartko miele.

To niebywale wzrusza,
bo nagle ze złotych ziaren,
mąka powstała!

On mąką ludzi obdarza, a ludzie
bochenkiem ciepłym częstują młynarza.

Młyn kiedyś był ostoją okolicy,
w nim tętniło dawnych bielawian życie.

Mariusz Dawid

Jesienna dolina

Bielawa pośród gór
Bóg stworzył na edeński wzór
Tam błogosławieni mieszkańcy gór
O tym śpiewa niebiański chór

Stroje wygodne ubrane
Czas rozpocząć zebranie
Grupa się zbiera
Dzieciom cisza doskwiera
Panie przygotowały śniadanie
Oto dumni bielawianie

Poranny wiatr lekko powiewa
Strącając jesienne liście
Słysząc jak ptak śpiewa
Pośród budynków w mieście
Na horyzoncie widać zarysy gór
Okalane promieniami złotymi
Płynie leniwie potok z naszych gór
Bielawica z wodami czystymi

Jarosław Dłużniak

Podróż w czasie

Przed stu laty wrzesień był słoneczny i suchy.

Langenbielauer Wasser zanikał w korycie.
Szeptał cicho... łagodził niepokój tuziemców
obok Gasthaus zur Obermuhle. Nurt zawodził
melodię o rozstaniu, płynąc po kamieniach.

Fotograf wieczność obiecał ludziom bezradnym.
Cicho, żony... zła woda szemrała o rychłym
wdowieństwie mieszkanek osady. Cień stojących
kładał się na zachód, wskazując okopy Flandrii.

Prąd spod Kalenicy niósł wieść o zawierusze.
Cicho, matki... zła woda szemrała o licznych
ofiarach wśród dorosłych synów. Tylko czyste
piskłące serce mogło słyszeć ducha źródła.

Pierwsza światowa niszczyła pragnienia życia.
Wszyscy cicho... górny młyn milczał o szczęśliwych
dłoniach ojców na głowach dzieci. Wzrok kamery
wychwycił tutejszą historię z końca lata.

Artysta uwiecznił czas nieszczęścia Bielawy.

Oliwia Fedko

Skrzaty z młynarzowej chaty

U podnóża Sowich Gór,
pod błękitnym dachem chmur
tajemnicza jest osada,
ten wiersz o niej opowiada.

Ku schyłkowi ma się lato,
jesień dumnie patrzy na to,
barwiąc czule drzew korony,
mówi: lata koniec upragniony.

Pośród miejsc tajemnych wielu,
stoi młyn, mój przyjacielu.
On historię ci opowie,
dziwów ktoś się dzisiaj dowie.
Wieści szeptem echo niesie
i roznosi je po lesie.

O przedziwnych skrzatach małych,
co wśród mąki worków białych,
pomoc nosły młynarzowi
niczym służba cesarzowi.
Lecz wdzięczności nie doznały,
więc się wszystkie pochowały.

Przy Trzech Bukach skarb ukryły,
na młynarza czar rzuciły,
koło młyńskie wnet stanęło,
plony sobie лихо wzięło.

Plagi spadły na młynarza
i przywiodły tu karczmarza.
Te przedziwne opowieści
kończą słowa o tej treści:
Wdzięczność cnotą jest niewielu,
jest to smutne, przyjacielu.

Przestrzegają więc swe dziatki
kochające, mądre matki,
gdy pod karczmą razem stoją,
gniewu skrzatów się nie boją.
Dzieci matki swe kochają,
dobroć w sobie rozwijają.

Kto mądry, pamięta historię młynarza
i wdzięcznością wszystkich obdarza.

Marta Gdula

Droga w stronę młyna

Jestem na tej drodze,
a jednak jakiejś innej.
Sto lat dokonało wielkich zmian.
Czuję się nieswojo,
czuję dziwny niepokój, nietypowy strach.

Ciekawość każe iść dalej.
Podążam za nią,
ona mnie prowadzi.
Oto młyn.

Widzę grupę ludzi,
widzę piękne stroje.
Moje oczy zamykają się,
a ja już jestem wśród nich.

Powieki powoli się rozchylają.
Trzymam w ręku stare zdjęcie
obrazujące ludzi stojących obok młyna.

Znów śniłam na jawie.

Aleksandra Głogowska

Moje miasto

Widać na zdjęciu
Nad niebem przejrzystym
Jak pięknie można
Czas wykorzystać.

Piękna okolica,
Dziedziczym ją nadal
Jak wtedy spacerujemy
Taka jest dla nas.

Spokój i góry
Choć nieco nizinne,
Dodają nam siły
Na dni codzienne.

Dla dzieci naszych
Niech będą na zawsze,
Bo Góry Sowie
Są piękne jak zawsze.

W pamiętnych czasach
Ten młyn mełł ziarna,
Na mąkę dla ludzi
Na chleb, na ciastka.

Pomiędzy drzewami,
W spokojnej dzielnicy
Młynarz i żona
Mąkę dzielili.

Górna Bielawa
Z czystości słynęła,
Mąkę kupował
I piekarz, i zielarz.

Czasy minęły,
Wojna nastała,
Młyn przestał działać.
Gmina domy budowała.

Ludzie dziś w tym miejscu
Długo po wojnie
Nad rzeczką bystrą
Żyją spokojnie.

Adrian Górny

Droga

Czasami drogi się łączą lub splatają.
Tak samo ludzie, którzy się nie lubią lub kochają.
Życiowa droga zdaje się nie mieć końca,
Tak jak uśmiech szczęśliwego brzdąca.
Bywają i takie drogi,
na których życie podcina nam nogi.
Ale szczęście i duma z tego, kim się jest,
podnosi nas i uświadamia, że ten upadek
to od życia niewinny gest.
Czasem ludzie nie umieją iść jedną drogą i szukają wyjścia,
aby się zatrzymać przed przeszkodą.
Zawsze najdłuższą i najcięższą drogą jest droga prowadząca do
życia celu
Niestety – kończy ją niewielu.
Reszta poddaje się i rezygnuje,
Lecz później tego żałuje.

Maria Grabowska

Przeżyte wspomnienia

Jakby nie patrzył - jest to piękne dzieło:
redakcja, korekta, skład i łamanie
oraz opracowanie graficzne
to zespół ludzi, którym – my, poeci –
tak wiele zawdzięczamy,

Nie pozwalają trwonić cennego czasu,
wciąż wytyczając nam nowe zadania,
na przykład Konkurs Literacki
Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy.

Jedną z takich fotografii
właśnie mam przed sobą.
Tak się złożyło, że byłam w wielu
przepięknych miejscach,
w niektórych z zachwytu odbierało mi mowę.
Lecz to, co widzę na tej fotografii,
wzbudza wspomnienie o miejscu rodzinnym
mojej babci.

Patrzę i myślę, jakby to cudownie było,
gdyby te piękne stroje ludowe
z powrotem do naszego życia powróciły.
To jest moje ciche marzenie.

Wiktoria Handwerkier

W Bielawie

Na Nowobielawskiej grupa ludzi stoi.
Są w strojach z epoki, jak każdemu przystoi.
Stoją tak pod starym młynem, rozmawiając grzecznie,
aby zapamiętać to na czasy wieczne.
Młody chłopiec odszedł, by nie podsłuchiwać,
by się znów nie musiał przed nikim ukrywać.
Co zrobią, gdy skończą to gadanie przecież?
Czy do domu pójdą, czy zostaną? Nie wiem!
Patrząc wciąż na taki wizerunek ludzi,
to w każdym człowieku isierka się budzi.
Więc wy z tego przykład również prędko bierzcie
i do swoich bliskich z miłością się śpieszcie.

Krzysztof Jadwinczyn

Majowa wyprawa

W każdym zdjęciu historia zaklęta
ludzi strudzonych po ciężkiej pracy.
By teraz chwilę odpocząć,
wraz z rodzinami idą rodacy.

Dlatego w piękny majowy poranek
wszyscy weseli i radośni.
Idą Marysia, Zosia i Janek
ze śpiewem na ustach, głośni.

Odświętnie ubrani rodzice i dzieci
niosą koszyki pełne jadła.
A słońce nad nimi radośnie świeci,
do gustu im ta wyprawa przypadła.

A gdy powrócą do domu wieczorem
bardzo weseli, ale zmęczeni,
zjedzą kolację razem przy stole
i zasną dniem całym znużeni.

Irena Kmiotek

Przy młynie

Wśród malowniczych gór płynęła rzeczka mała,
która dla ludzi w Bielawie mieszkających
bardzo przydatną się okazała.

Przy biegu jej nurtów młyn powstał wspaniały,
zamieszkał w nim młynarz, człek z dobroci znany.
We młynie ciężko pracował i za to tutejszy lud
bardzo go szanował.

Złociste ziarna zbóż mełł na mąkę białą,
z której w izbach pachnący chleb wypiekano.

Lecz gdy po górach rozlegał się głos dzwonu kościelnego,
przestawał pracować młynarz i wszystko wokół niego.
W tym dniu, idąc z kościoła, przy młynie chętnie ludzie stawali
i o czymś, zapewne ważnym, ze sobą rozmawiali.

Być może o kłopotach lub o szczęściu, które ich spotkało
lub o tym, co w mieście ciekawego się stało.
Być może o pięknych strojach, w które odziani byli,
wszakże to w nich w świątecznym dniu Boga błogosławili.

A wszystkiego rzeka słuchała, która płynąc, do mórz zmierzała.
I drzewa, co wśród gór przy młynie stały,
a które o każdej porze roku malowniczo wyglądały.
Bajecznie piękna przyroda dostojnie młyn, ulice, domy otaczała,
dając świadectwo temu, że ona i ludzie to jedno, że wspólne
serce dla dobra wszystkiego tu bije,
że my, ludzie, musimy o tym pamiętać,
stojąc tu, przy tym bielawskim młynie.

Piotr Krakowiak

Pod Górnym Młynem

W malowniczej Bielawie
u podnóża Gór Sowich
wielka dzisiaj nowina –
wszyscy biegną na otwarcie młyna!

Potok radośnie z gór płynie,
napędza wodną turbinę.
Niosą bielawianie swoje zboże w koszach,
będą mieli mąkę do swoich gospodarstw.

Wiatr w drzewach szeleści,
wieść niesie po mieście.
Ludzie w grupy się zbierają,
dobre wieści rozgłaszają.

Kobiety wystrojone, eleganccy panowie
dumni z życia u podnóża Gór Sowich.
Dzieci biegają po drogach radośnie,
serce na tę sielankę rośnie.

Życie jak turbina kołem się zatacza,
kwitnie Bielawa i gości zaprasza.
Z zielonych łąk i gór Bielawa słynie,
każdy wypocznie w tej pięknej dolinie.

Zapach chleba się roznosi
pysznie pachnie wszędzie.
Tu jak w domu, jak u mamy –
ciepło i bezpiecznie.

Małgorzata Kwiatkowska

Bielawa

Bielawa, me miasto rodzinne
tak bliskie, tak ciągle inne.
Z każdego kątki wiatr historii wieje,
szumi, opowiada stare miasta dzieje.

Usiądź pod drzewem przy Starym Młynie,
gdzie woda jak wieki temu płynie.
Zobacz dawnych mieszkańców rozmową zajętych,
zapatrzonych w przyszłość, sobą pochłoniętych.

W piękny, jesienny, słoneczny dzień,
stanie na drodze zdumiony przechodzień.
Usłyszysz gwar rozmów, kobiet śmiech i dzieci,
a słońce jak wtedy, tak i teraz świeci.

Czekając na deszcz

Patrzę na starą fotografię.
Znam historię Bielawy,
więc opowiedzieć wam potrafię,
jakiej dotyczy ona sprawy.
Przed Górnym Młynem na ulicy
stoją mieszkańcy okolicy.
Rzekł młynarz: Słuchajcie ludzie,
dzisiaj od rana
dzieje się rzecz niesłychana.
Młyńskie koło się nie porusza.
A to dlatego, że od miesiąca jest susza.
– Młyn nie pracuje? To problem nie lada
– stwierdziła ludzi gromada.
Kobieta w pasiastej spódnicy
rozejrzała się po okolicy.
– Spójrzcie, nad lasem niebo ciemnieje
i wiatr mocniejszy chyba wieje.
Patrzą wszyscy ponad góry
i wypatrują deszczowej chmury.
Wtem spadły pierwsze krople deszczu.
a ludzie krzyczeli: Jeszcze! Jeszcze!
Chodźmy tymczasem do gospody
– odezwał się chłopak młody
– Kucharz dziś upiekł barana,
a jutro do pracy od rana.

Maria Maciejewska

Wczoraj i dziś

Przepiękne chusty, długie spódnice,
skórzane botki, rumiane lice...
to babunie nasze na początku wieku
wracają do domów w ogromnym pośpiechu.

Białą mąkę nosą ze Młyna w Bielawie,
przy nich biegają dzieci po zielonej trawie.
śpieszą się babunie do swych posiadłości,
aby chlebek wypiec dla rodzin i gości.

Dziadkowie wracają strudzeni z roboty,
głównie na nich czeka chleb pieczony, złoty.
cieszą się rodziny, cieszą przyjaciele,
że nasz Młyn Bielawski dobrze mąkę miele.

Dziś zamiast do Młyna, gnamy do marketu,
po bułeczki pulchne z rannego wypieku.
Młyn mąki nie miele, zmienił przeznaczenie:
ludzie w nim mieszkają, mają tam schronienie.

Mikołaj Maciejewski

Podróż w przeszłość

We Młynie Bielawskim mocarni młynarze
mąkę wyrabiali, jak tradycja każe.
Mąka była przednia, chleb z niej znakomity.
Wiedziały to dobrze bielawskie kobity.

Słyszać było we młynie melodie, piosenki,
gdy podziwiać młynarków przychodziły panienki.
Babunie śpiewały, dzieciaki skakały.
Szczęściem i radością tętnił nasz Młyn cały.

Dziś już tego nie ma, zostały wspomnienia,
stare fotografie znalezione w szafie.
Jak chcesz Młyn zobaczyć, porzuć nowoczesność,
idź w górę Bielawy i podążaj w przeszłość.

Zdzisław Maciejewski

W starym młynie

Wiozą zboże, koń stęka ciągnąc wóz do góry,
Bruki głośno się skarżą gniecione kołami,
Ostry pot wleciał ptakiem pod nieba lazury,
Szumią buki Gór Sowich nad domów dachami.

Ciężki pas się skórzany zawzięcie uwija,
Cmoka głośno na wale drewnianym i huczy
Prędej, prędzej, gdzie byka był ogon i szyja,
Młynarczyk piosnkę skoczną pod nosem wciąż mruczy.

Na wielkie młyńskie żarno ważące dwie tony
Spływa ziaren pszenicznych życiodajna rzeka,
Kamień wiruje lekko jak derwisz szalony,
Wypływa bezszelestnie sucha stróżka mleka.

Wielkie tryby stukają jak wagonów koła,
Sita trzeszczą wesoło, zbierają otręby,
Woda spada na koło, młynarz głośno woła,
Wokoło się unoszą śnieżnobiałe kłęby.

Stoją już na podeście wielkie, ciepłe worki,
Był urodzaj i będą zimą pełne brzuchy.
Młynarze wyglądają jak białe potworki,
Ale to dzielni chłopcy i wesołe zuchy.

Już na drodze czekają młode gospodynie
Wystrojone jakoby na odpust jakowy,
Pierwsza mąka po żniwach to święto w rodzinie,
Będą kluski, kołacze i chlebek domowy.

Ryszard Mierzejewski

Bielawa — koniec lata, początek wieku

Z końcem lata
drzewa i trawy zaczęły się
przebierać
suknie w żywej zieleni
wymieniały na te
w barwach nadchodzącej
właśnie jesieni
płonących na polach ognisk
kartofli pieczonych
i liści złoto-brązowych
opadających wolno na ziemię

I kumoszki wracające z dzieciakami
rankiem z miasteczka ubrane
już ciepłej w długie grubsze suknie
choć słońce jeszcze wysoko
na niebie oświetla złotym blaskiem
przytulone czule do siebie
drewniane wiejskie chaty i
dom murowany
a w oddali stare góry pogrążone
w wiecznej drzemce
od czasu do czasu łypiące
na Bielawę
swoim szaroniebieskim okiem

Michał Morasz

Zaproszenie

W Bielawie niedaleko młyna
na spacer idzie rodzina.
Starsze panie i dzieci,
a słońce cudownie świeci.
Wokół piękna okolica,
każdy człowiek się zachwyca.
Góry, drzewa, domy, sady
to krajobraz jest Bielawy.
Na podwórku, na ulicy
tańczą sobie baletnicy.
Słońce, burza czy też grad
bielawianin tańczy w takt.
Bo ludzie tutaj są prości,
szczerzy, mądrzy i radośni.
Jeśliś tego jest ciekawy,
to zapraszam do Bielawy.

Nostalgia koła

Bardzo za nią tęsknię...
Chyba już nigdy nie poczuję, jak jej orzeźwiająca toń łaskocze
moje spróchniałe ramiona.
Upływają miesiące...
Patrzę, jak coraz to nowi ludzie idą drogą,
nawet nie zwracając na mnie uwagi.
W końcu pewien chłopczyk patrzy na mnie i pyta: „Co to jest?”.
„Jakieś stare bezużyteczne koło wodne” – odpowiada mu mama.
Przykro jest słyszeć takie słowa na swój temat,
tym bardziej jeśli się wie, że to prawda.
I choć bardzo chcę, żeby to się zmieniło,
to i tak nie mogę nic na to poradzić.
Pozostaje mi tylko czekać.
Lata wciąż mijają i mijają.
Pewnego dnia widzę jadących powozem konnym ludzi.
To chyba dwoje dzieci...
Zatrzymują się i wysiadają z powozu...
Patrzę na ich twarze i trochę się dziwię.
To nie są dzieci, tylko dorośli mężczyźni
bardzo niskiego wzrostu.
Nie widziałem jeszcze nigdy takich odmiennych ludzi.
Mężczyźni w ciemnych garniturach omijają mnie
i idą w stronę stojącej niedaleko karczmy.
Jednak nie wchodzą do środka tylko zatrzymują się
kilka metrów przed nią.
Jeden z nich wskazuje na budynek młyna
i mówi coś do drugiego.
Podchodzą bliżej i zaczynają oglądać dom.
Pierwszy raz od wielu lat w moim sercu
pojawia się iskierka nadziei.

Szybko jednak znika, kiedy mężczyźni odchodzą
z powrotem w stronę powozu.
Odjeżdżają...
Znow muszę czekać...
Mija godzina i słyszę stukot kopyt...
To oni?
Tak! Wrócili!
Wysiadają.
Zauważam w ręku jednego z mężczyzn zardzewiały klucz.
Dochodzą do młyna i otwierają drzwi...
Znikają w budynku, już ich nie widzę...
Wokół panuje cisza.
Nikt nie idzie drogą.
Nikt nie wychodzi z karczmy.
Słysząc tylko szum lasu, który zdaje się mówić: „Nareszcie...”
Po chwili z niedowierzaniem patrzę,
jak mechanizm zostaje uruchomiony.
Podnosi się od wielu lat nieużywana tama.
Omam nie zapomniałem tego widoku.
Patrzę jak woda płynie w moim kierunku
Już nie mogę się doczekać.
Ciężko mi uwierzyć, że to prawda.
Tak długo na to czekałem.
Czuję, jak pierwsze krople wody po mnie spływają.
Po chwili jest ich coraz więcej i więcej.
W końcu nurt świeżej wody oblewa mnie w całości.
Ale zaraz... coś jest nie tak...
Nie mogę się ruszyć nawet na milimetr...
Już powinienem zacząć się kręcić na dobre...
Patrzę, jak woda spływa po mnie w dół,
a ja nie mogę nawet drgnąć...
Co się dzieje? Czy nie może być tak jak dawniej?

Widzę mężczyzn, jak wychodzą i idą w moim kierunku.
Jeden z nich podchodzi bliżej, wyciąga rękę w moją stronę,
próbuję mnie obrócić.
Nic się nie dzieje.

Teraz obydwaj się trudzą, ale to i tak nie daje efektów.
W końcu idą do domu.
Tama się zamyka.
Woda przestaje płynąć.
Po chwili mężczyźni wracają, niosąc w rękach jakieś przedmioty.
Stają po obydwu stronach wilgotnego od niedawna koryta rzeki
i zaczynają majstrować przy mnie tymi narzędziami.
Zaraz! Nie! Czekajcie! Co wy robicie?!

Upadam...
To już chyba koniec...
Nastaje cisza...

Aneta Parzoń

Pod Górnym Młynem

zgromadzenie panien
punkt ósma siedem
wzrok – niebo ziemia
na górze cumulusy
w ziemię wplecione cienie

przyglądam się arkadii utopionej w niedoli
pozorne szczęście czołga się po piedestale trwóg

przesypuję przez palce szkielety nadziei
bieluchny jak pierwsze śniegi
proch

uśmiech za uśmiech
gest za gest
pieniądz za chleb
nic darmo

rzeczą ludzką jest błdzić
nawet myślami
za szlacheckim życiem

Krzysztof Pasek

Rozsypała się maczkiem perlistym
wielobarwna paleta po lesie
na jesienną nutę majona
tak, synku – przyszła jesień

W wód poszumie górskiego strumienia
czas zatrzymał fotograf przy młynie
w okamgnieniu wszystko stanęło
a po chwili znów wszystko płynie

Panta rhei! – krzyknąłby, kto zna grekę
filozofię, ksiąg wiele z okładem
zasepiły się panie przy drodze
– czas, by zająć się jakimś obiadem

Albo w góry pociągnąć gromadnie
lub samemu, by wtulić się w ciszę
myśli zebrać, ze sobą pogadać
głos prastarej kniei usłyszeć

Wtulona w pień starej sosny
zerka sowa na senne miasteczko
mówią – słonie chodzą po mieście
biegnij słonie zobaczyć, córeczko

Natalia Pasek

Zatrzymały się babuszki
Przy ogromnym młynie,
Jest tu dróżka, są kwiatuszki
I strumyczek płynie.

Gdzie się one wybierają?
Albo skąd wróciły?
Może idą do kościoła?
Może tam już były?

Teraz językami mielą
Jak młynarze w młynie,
Dróżka biegnie, kwiatki kwitną,
A strumyczek płynie.

Dominika Porzybót

Święta praca

Wśród dywanów łąk ogromne drzewa
i Góry Sowie wokoło.
W scenerii bajecznej
zbożowy młyn,
co napędzany jest wodą.

Pod Górnym Młynem,
na drodze,
zebrała się cała gromada.
To bielawianie,
ludzie pracy.
Jednym pierwsza,
innym druga zmiana przypada.

Kręci się, kręci
bielawski młyn.
W pył biały cudem przemienia zboże.
Każde ziarenko cenne jest...
Pobłogosław tej pracy, o Boże!

Aniele Stróżu,
pomagaj im,
zamienić trud w radości,
by u każdego z nich już zawsze
na stole chleb zagościł.

Z Górnego Młyna,
z ciężkiej pracy wielu ludzi,
nasze babcie

świętość chleba poznały,
a my już na wieki
hołd każdej kromce składamy.

Magdalena Rumin

Magia starej fotografii

Gdy już jesień nadchodzi i dni stają się szare,
lubię sobie obejrzeć fotografie stare
i gdy tak przeglądam, odkrywam historię
Bielawy, którą przecież znam od urodzenia!

Biorę pierwszą z brzegu – pocztówka piękna,
któs ją komuś wysłał, gdy w tych stronach bywał.
Zdjęcie chyba z początku wieku poprzedniego,
nie było wtedy techniki, jaka jest dnia dzisiejszego!

Kontury rozmazane, kolorów niepełne palety
od cyfrowych obrazów różnią się niestety,
a jednak fotografii urok nie przeminął wcale,
choć pokazuje świat, który dawno zginął.

Jest tu osób kilka w strojach z dawnych czasów,
stoją sobie spokojnie, bez nerwów i zbytniego hałasu...
Chyba w miasteczku jesień już w pełni nastała,
bo ciepło jest odziana ta gromadka cała.

Woda machinę młyna żwawo w ruch napędza,
babiego lata leniwie tam snuje się przędza.
Na zdjęciu oprócz młyna i stojących ludzi,
jest budynek, który ciekawość moją wzbudził.

Zapytałam dziadków i rzecz jasna w sieci sprawdziłam,
dzięki czemu pewne wątpliwości szybko sobie wyjaśniłam.
Dom ten nadal stoi, choć dziś niepozorny,
miejscem był dość ważnym dla ludzi sprzed wojny!

Bo na początku wieku tu gospoda stała,
co by pewnie niejedną historią nad wyraz zdumiała!
Ważne to było miejsce dla tych, co tu żyli
i dla tych, co do młyna zboże przywozili.

Po wojnie przez lat wiele nieremontowany,
budynek ten potocznie był „Narciarzem” zwany,
bo jego elewację przez lata,
zdobiły zimowych sportowców portrety.

Dziś tylko na zdjęciu gospoda została,
bo w nim jest zamknięta ta historia cała.
I tamtych ludzi spod młyna również nie ma na świecie,
a jednak fotografia pamięć o nich zawsze na nowo przyniesie.

Izabela Sędziwa

Bielawski młyn

W dawnej Bielawie młynów było wiele,
co miastu dawało wielkie przywileje.
W Bielawie było młynów osiem
między innymi na ulicy Tkackiej, Piastowskiej,
a najwspanialszy był na ulicy Nowobielawskiej.

U podnóża Gór Sowich ten młyn wodny był położony,
a wkoło drzewami i zieloną roślinnością otoczony.
Obok rzeczka Bielawica swe wody staczała
i turbiny młyna obracała.
Niedaleko młyna gospoda okazała stała,
która po ciężkiej pracy,
przy piwie miejscowej ludności życie umilała.

Piękne były tam widoki na las zielony,
góry, a nad głową błękit nieba,
lecz nieraz deszczowe chmury.

Po lesie spacerowały dzieci,
panie i panowie,
podziwiając piękną przyrodę
i zyskując zdrowie.

Piękna przed stu laty
nasza Górna Bielawa była,
a przez to na szacunek nas, potomnych,
sobie zażyła.

W górnym młynie mąkę się dobrą produkowało,
a z niej chleb i rumiane bułeczki wypiekało
i wszystkim pieczywo to smakowało.
Dzięki temu chleba naszego powszedniego
nikomu nie brakowało.

Teraz byłby to zabytek
i niebywała gratka dla wnuczka,
babci, a nawet i dziadka.
Szkoda, że naszych zabytków nie odnawiamy.
Po prostu o naszych przodkach zapominamy.

Paweł Sobota

Na końcu ulicy stał
Młyn i mówił:
„Dajcie mi zboże
Dam wam mąkę”
Jednak nikt nie chciał zgodzić się
Więc
Smutny młyn postanowił
Zamilknąć na zawsze

Alicja Stępień

Przedmieście wspomnień

Na tej uliczce, końmi udeptanej,
Co dzień niewiele sytuacji się zdarza.
Czy to stary szynk miejski żyje?
Czy też pochód gdzieś podąża?

Wiele pytań na górskim krajobrazie,
Tu dziewanna, tam bieleją bazy,
Mury z rzeką coś jeszcze szepczą
Wśród łąk w rosie skąpanych.

Dla wielu domów w tym czasie zatrzymanych
To był czas pachnący pięknem i wspaniałym.
I gdy idziesz gdzieś teraz miastem
Tę ziemię masz pod swymi nogami.

Stań i pomyśl, powspominaj czasami.
To takie sytuacje zwykłe-niezwykłe
Twój los kształtują na obrazie życia.
Pamiętaj o tym.

Mikołaj Sulmiński

Spotkanie pod młynem

W Bielawie obok młyna stała młoda dziewczyna.
Patrzyła przed siebie jak sowa lecąca po niebie.

Czekała na spotkanie i słuchała kobiet plotkowania.
Wracały one z bielawskiego bazaru z koszami pełnymi towaru.

Chłopak podszedł do dziewczyny.
Zamiast kwiatów miał maliny.
Wziął jej rękę i poszli w góry, podziwiać piękno natury.

Bielawa to miasto pełne życia, w górach szczyty do zdobycia.
Wspaniali mieszkańcy i okolica, słońce wszystkim maluje lica.

Dawno temu chłopak z dziewczyną żyli,
w Bielawie pracowali i się uczyli.
Byli przyjaciółmi, razem się bawili.
To miasto kochali i go nie opuścili.

Bielawa to wszystkich miasto ukochane,
jeziorem i górami wokół oplątane.
Nadal kobiety obok targu plotkują,
ciekawostki z życia kogoś poszukują.

Młyn już zniknął i wszystko się zmienia,
Bielawa nasza wychodzi z cienia.
Miasto pięknieje i się rozwija, bo miłość do niego nie przemija.

Anna Sułek

Barwy jesieni

Usiadłam,
uciekłam w swój azyl.
Otoczona ciepłem koca,
zagłębiona w ciszy.
Przerzucam rodzinne fotografie,
dowody minionych chwil.

Patrzę na cudze szczęście,
uwiecznione na pożółkłych jak jesienne liście kartkach.
Ściskając w ręku jeden kartonik,
zastanawiając się...
Wiosna,
lato,
jesień
i...?

Ten kartonik jest jak ptasi krzyk
przypominający o czasie, który minął.
O czasie, który nie powróci.
Wpatrując się, przypomniałam sobie, że miejsce tak piękne
wygląda teraz inaczej.

Czas odcisnął swoje piętno.
Drzew już nie odnajdę.
Ludzie odeszli,
zostały jedynie cienie wspomnień.
Budynek poszarzał,
nadeszła jesień.

Ale nie ta piękna, złota.
Jedynie szara,
niczym beton.
Szara i brudna jak nasze ulice.
Szara jak nasze myśli i serca.
Ale w tej szarości tli się iskierka,
iskierka nadchodzącej wiosny.

Wiosny w naszych sercach.
Wiosny na naszych ulicach.
Wiosny w naszym uśmiechu, w naszej radości
I w pełnej pałecie barw
otaczających nas zewsząd.
Przenikającej nas do głębi.

Nicola Wałachowska

Jest takie miejsce

Pośród wzgórz zielonych,
Pośród pięknych drzew,
Jest małe miasteczko,
A w nim stary młyn.

Małe domki, ścięte dachy
Zapraszają do zabawy.
Piękny widok dech zapiera,
Każdy chce być tu i teraz.

Dzieci bawią się radośnie,
Więc na dworze coraz głośniej.
Pokrzykują, podskakują,
Szczęściem wszyscy emanują.

Kobietki wesołe do domu wracają,
Były na zakupach, więc kosze dźwigają.
Wesoło gawędzą, idąc znaną drogą,
Rozprawiają głośno jak to w sklepie drogo.

Mężowie do pracy poszli wcześniej rano,
Wtedy, gdy na dworze dopiero świtało.
Jedni mąkę mielą, drudzy łąki koszą,
A ci pozostali drewna naprzynoszą.

Piękne lasy wokół się rozpościerają,
Do zbierania grzybów wszystkich zapraszają.
Można tutaj znaleźć jagody, maliny,
Będą na przetwory dla każdej rodziny.

Widoki przepiękne, urokliwe domki,
Z okien widać zawsze ukwiecone łąki.
Mieszkańcy serdecznie tutaj zapraszają,
Miłych gości zawsze gorąco witają.

I dlatego warto przyjechać, zobaczyć,
Swoją obecnością to miejsce uraczyć.
Nacieszyć oczy, nasycić zmysły,
Bo to taka mała namiastka ojczyzny.

Ewelina Węgielnik

Obraz dzieciennych snów

Pod jaśniejącym słońcem
Góry przecięte lasem mglistym
Strzeliste korony otoczone blaskiem
Wiatr uciekający białym szlakiem

Ptaków śpiew rozbrzmiewający
Z harcem dzików konkurujący
Stłumione dźwięki lasu
Rozchodzące się hałasy wsi

Lśniące porankiem słońce
Wysłuchujące modlitw mieszkańców
Dzwony bijące donośnym echem
Radość uderzająca do drzwi

Mieszczanie śpieszący do pracy
Czekający na nich młyn
Przepełniony pracą ludzkich rąk
Po zmroku znów poczuje samotności smak

Duchy przeszłości nocą odzywają się
Cóż mogą powiedzieć, któż wie?
Czy przyszłości zdradzą nam szlak?
Czy odpowie nam jedynie wiatr?

Na powozie marzeń odjadę stąd sam
Gdzie źródło swej radości mam
Szum drzew, ptaków śpiew, życia nic
W pamięci będzie tkwić

Jakub Wojtanowski

Młyn nad potokiem

Na polanie w drzewie mieszkał dzięcioł z sową,
A obok mieszkali młynarz z młynarzową.
Zboże zbierali, na mąkę je mieli,
Byli zawsze przyjacielscy i mili.
W interesie pomagała im woda z potoku
I nigdy nie tracili dobrego humoru.
Młyn już zbudowany przed wieloma laty,
Pokolenia nawzajem go sobie dawały.
Młynarz z młynarzową bardzo się kochali,
Już od podstawówki się spotykali.
Dane im było odziedziczyć młyn
I wkrótce narodził im się syn.
Bartłomiej mu dano na imię
I od najmłodszych lat pomagał rodzicom w młynie.
Syn dorósł, zmężniał i wyruszył w świat,
A rodzice pracowali w młynie jak za dawnych lat.
I młyn dalej miele zboże,
Młynarz z młynarzową pracują w nim dla innych o każdej
porze.

Monika Zagala

Mała miścinka

Bielawa mała
piękna i kochana
piękne lasy
gdzie są skały

i ludzie starzy
pięknie ubrani
i domy stare
zrobione na stałe

uliczka mała
piękna i stara
młyn mały
i dobrze zbudowany

ludzie mali
ciężko pracowali
stary młyn mełł
wszyscy się tam kochali
i bardzo szanowali

Andrzej Ziobrowski

Młynarz

żył sobie Mikoła
trochę krawiec i szewc
nawlekał dratew palcami
jak wirtuoz batuty świerszcz
siedział na zydlu drewnianym
wpatrzony w rysy żony stępione
troskami i czasem – pogodą też
wymyślał różne sytuacje by odpłynąć
myślami na wyspy szczęśliwe
gdzie nie będzie zdartych buciorów cerował
krawcował jak szewc

tak oto zapukała w chacinę drzwi
pani z powozu cudowna
co niejedną taką chciał mieć
Mikoła w myślach się śmieje
jego oblicze zazwyczaj surowe
garbowane przez lata smutkiem
teraz pogodne wyprasowane ze zmarszczek
i smutku się śmieje
bo w błogą pańską krainę zdąży
bez pociągła warsztatu bo jak w powozie przewozić
brak miejsca czasu gdy pani w atłasie
zalatna

to tylko marzenia biednego chłopca
niosły go niosły
lecz błogość przysła gdy młynarz
Jantek zapytał o chodak
który był kiedyś zostawił u Mikoły

by go narychtował
tchnął duszę w skórzaną powłokę
zręcznymi palcami ze zmrokiem u okien
w deszcz

a młynarz mógł w karczmie tańcować
u Jankiela
podrygiwać w takt skrzypcowej melodii
jak wielki pon
skrzypkowi dwa ruble na czole przykleić
bom przecie młynarz – pan

Przemijanie

100 lat przeminęło, rozwinęła się Bielawa
zmieniła się tradycja – to czas przemijania.
Ludzie są inni – brak tolerancji.
nie ma uprzejmości i brak integracji.
Kiedyś radość na ustach gościła,
dziś za pieniędzmi goni rodzina.
Każdy chciwy chce tylko dla siebie,
nie patrzy na innych – marzy o „niebie”.
Dawniej ludzie weseli i mili
spędzali czas razem i się nie kłócili.
Spacerowali wszyscy w gronie rodziny,
uśmiechali się, bawili, bo byli szczęśliwi.
Wszystko to jasne, piękne wspomnienia,
lecz dziś już tego nikt nie docenia.

Proza

Piekarz

W Bielawie każdy znał piekarza, który przyjechał z Francji. Wszyscy uwielbiali jego bułeczki. Piekarz miał na imię Paweł, jego rodzice byli Polakami, ale mieszkali we Francji. Mężczyzna codziennie jeździł po mąkę do młyna. Młynarz znał go bardzo dobrze i uważał, że to dobry człowiek.

Pewnego ranka, gdy Paweł jechał po mąkę, zobaczył przed młynem zatrwożoną rodzinę młynarza. Bez zastanowienia wysiadł z wozu i zapytał, co się stało. Na początku nie uwierzył w to, co usłyszał. Okazało się, że młynarz jest ciężko chory. Mężczyzna zapytał, czy może zobaczyć się z młynarzem. Rodzina zgodziła się i Paweł poszedł z matką młynarza do jego domu. Został go leżącego w łóżku. Młynarz poprosił Pawła, aby zajął się młynem. Piekarz się zgodził, chociaż nie za bardzo wiedział, jak robi się mąkę. Obiecał jednak, że spróbuje. Następnego dnia wstał bardzo wcześnie i udał się do młyna. Po godzinie przyszedł pierwszy klient. Pawłowi udało się sprzedać mąkę. Zapomniał niestety o swojej piekarni. Szybko tam pojechał i na drzwiach zostawił kartkę, że dzisiaj sprzedaje we młynie.

Pomagał tak przez cały tydzień, aż w końcu młynarz wyzdrowiał i powrócił do swoich obowiązków. Był zadowolony z pomocy Pawła i obiecał, że już zawsze będzie mu dawał darmową mąkę. Pawłowi spodobała się ta propozycja i z chęcią z niej skorzystał. Młynarz i piekarz zostali przyjaciółmi i za rok otworzyli wspólną działalność. Mieli mnóstwo klientów.

Teraz w Bielawie w jednym miejscu można było kupić pyszne francuskie bułeczki oraz świeżą mąkę.

Tajemnica ukryta w kufrze

Pewnego deszczowego dnia siedziałam w swoim pokoju przed telewizorem. Obok mnie leżał mój kot. Przełączałam kanał po kanale i w końcu wyłączyłam telewizor. Do pokoju weszła mama, mówiąc, że mam zrobić porządki w pokoju na górze.

Gdy zaczęłam sprzątać, odsunęłam przypadkowo komodę. Odkryłam małe drzwi, których wcześniej nie widziałam. Zajrzałam przez dziurkę od klucza. W środku panowała ciemność, wzięłam więc latarkę i prześlizgnęłam się do środka. Pomieszczenie było niewielkie, wszędzie znajdowały się pajęczyny. Światło przemykało przez niedużą szparkę w dachu i padało na stary, zakurzony kufer. Miał on zepsuty zamek i był spróchniały. Nagle po nodze przebiegła mi mysz. To był znak, że czas wracać na dół. Zabrałam kufer ze sobą.

Siedząc na łóżku, otworzyłam go. W środku znajdowały się zdjęcia, naszyjnik, obrączka, szczotka, lusterko i pamiętnik. Pamiętnik oprawiono w skórę i przewiązano kokardą. Otworzyłam go. Na pierwszej stronie widniał napis: „Pamiętnik Rozalii Bączek”. Uświadomiłam sobie, że to moja prababcia. Zaczęłam czytać.

Pierwsza notatka pochodziła z 20 czerwca 1899 roku. Brzmiała tak:

Nareszcie przeprowadziliśmy się do nowego domu. Dom jest położony w Górach Sowich. Mamy przepiękny widok na okolicę i pobliskie lasy. Niedaleko nas przepływa strumyk, przy którym stoi wielki, biały młyn. Wokoło mieszka niewielu ludzi. Sąsiadujemy z rodziną państwa Bręzaków. Mają dwoje dzieci – córkę Janinę i syna Józefa. Z moim młodszym bratem, Leosiem, będziemy mieli towarzystwo.

Nagle przestałam czytać i zdałam sobie sprawę z tego, że nikogo nie ma w domu. Nie przejmując się tym, znów zagłębiłam się w lekturze.

24 września 1904 roku. Dziś założyłam nowe ubranie, które uszyła mi mama. Jest śliczne: bordowa spódnica, błękitna bluzka, białe poir-

czochy, czarne buciki i czerwone kokardki do warkoczy. Po południu tata zabrał mnie i Leosia na spacer po okolicy. Widzieliśmy wielu ludzi ubranych w tradycyjne stroje. Jeden z chłopców przechodzących obok nas uśmiechnął się do mnie. Z rumieńcami na twarzy odpowiedziałam mu lekkim uśmiechem. Doszliśmy do młyna. Tata kupił dwa olbrzymie i ciężkie worki mąki. Gdy wróciliśmy do domu, mama czekała na nas z ciepłym posiłkiem.

Nie wiem, kiedy zasnąłam. Obudził mnie mój kot. Ponownie chciałam zajrzeć do pamiętnika, ale on zniknął. Od razu zaczęłam go szukać. Po chwili zauważyłam, że leży na moim biurku. Otworzyłam pamiętnik i zorientowałam się, że jestem na ostatnim wpisie. Notatka została napisana wiele lat później niż poprzednia – dodano ją 21 lipca 1907 roku. Brzmiała tak:

Nareszcie cię znalazłam. Mama wynosiła moje stare rzeczy na strych i niechcący włożyła cię do skrzyni. Dopiero kiedy ostatnio robiła porządki i wyrzucała stare, niepotrzebne rzeczy, zauważyła cię. A więc... Dzisiejszy dzień był najlepszy, jaki mnie w życiu spotkał. Po południu mama energicznie wkroczyła do pokoju. Kazała mi się ubrać w najładniejszą sukienkę, jaką posiadam. Kiedy zeszłam na dół, Leo i rodzice byli już gotowi do wyjścia. Wyszliśmy z domu i poszliśmy przed siebie. Leo zachowywał się bardzo dziwnie. Był tajemniczy, mało mówny i spokojny. Ulica tego popołudnia wydawała się wyjątkowo pusta. Tylko grupka ludzi, obok której przechodziliśmy, dawała oznaki jakiegokolwiek życia. Ich głowy były zwrócone ku górze. Nad nami w powietrzu kołował samolot. My również popatrzyliśmy w jego kierunku. Na końcu ulicy stał malarz, który uwiecznił całe to zdarzenie. W ogóle go nie zauważyłam. Samolot unosił się jeszcze chwilę nad nami i zniknął za dużym, szarym budynkiem. Budynek ten znajdował się niedaleko młyna, więc pomyślałam, że rodzice idą po mąkę. Ale po co mielibyśmy ubierać się w odświętne stroje? O dziwo, weszli do szarego budynku. Gdy tylko przekroczyłam próg, usłyszałam: „Niespodzianka”. Zapomniałam, że mam urodziny. Przyszli wszyscy sąsiedzi. Nawet Józek i Janinka. Do późnego wieczora wszyscy dobrze się bawili. Ja zbliżyłam się nieco do Józefa. Jednym słowem – lubię go. Gdy było już po wszystkim i wróciłam do domu, nie mogłam zasnąć. Wciąż przemykał mi przed oczami obraz, który zostanie w mojej pamięci na

zawsze. Następnego dnia mama podarowała mi obraz, który malował niezauważony przeze mnie artysta. Przedstawiał moją rodzinę, tłum ludzi, samolot i karczmę. To już ostatni wpis do mojego ukochanego pamiętnika. Mam szesnaście lat i tu kończą się kartki. Przeżyłam z tobą, pamiętniczku, wiele chwil, a więc czas się pożegnać. Żegnaj!

Odłożyłam na chwilę pamiętnik na bok i zamknęłam oczy. Chciałam sobie wyobrazić, co czuła wtedy moja prababcia. Powoli „odpływałam”, ale miauczenie kota sprawiło, że musiałam wrócić do rzeczywistości.

Zachowałam pamiętnik i ponownie otworzyłam kufer. Zauważyłam coś, czego wcześniej nie dostrzegłam. Podwójne dno! Koperta?! Znalazłam w niej zdjęcie mojej prababci, gdy była małą dziewczynką. Stała z jakimś chłopcem. Z tyłu znajdował się napis: „Józef i Róża, 21 lipca 1899 roku”. Wzięłam następne zdjęcie. Były na nim te same osoby, tylko inna data – 21 lipca 1907 roku. Moja prababcia miała przepiękną sukienkę. W kopercie znalazłam jeszcze ślubną fotografię zrobioną w tym samym miejscu, w którym prababcia obchodziła swoje szesnaste urodziny. Obok kufra było coś jeszcze – obraz, który pasował do opisanego w pamiętniku. Cudowny! Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Teraz wiem, jak moja rodzina znalazła się w tym pięknym mieście.

Pamiętnik

16 sierpnia 1940

Piękny słoneczny dzień – razem z rodziną spędzaliśmy wolny czas na świeżym powietrzu. O godzinie 16.00 w telewizji i w radiu zaczęli nadawać przerażający komunikat, który głosił o ataku ZSRR na Państwo III Rzeszy. Do końca dnia byliśmy zaniepokojeni, czy to naprawdę się dzieje i co z nami będzie.

17 sierpnia 1940

Pierwszy dzień po ataku. Noc chyba nieprzespana przez wszystkich domowników, łącznie ze mną choć jestem przyzwyczajony do snu mimo przerażenia. Przez cały czas słychać przerażone głosy przechodniów co do przebiegu najazdu. Staram się uspokoić rodzinę, mówiąc im ciągle, że nic nam się nie stanie, choć z drugiej strony wiem, że mogę ich okłamywać. Do końca dnia staram się dowiedzieć czegoś o ataku, mam nadzieję, że moje znajomości w wojsku mi pomogą.

18 sierpnia 1940

Dzień drugi. Z rana o godzinie 10.00 przyjechali do mnie dwaj żołnierze z mojej byłej 2. Dywizji Pancерnej. Przynieśli mi komunikat ze sztabu, który brzmiał:

Do mjr. Georga Schnidersa

Drogi Panie Majorze z przykrością informujemy Pana, że nasze kochane Państwo potrzebuje Pańskiej pomocy w tej ciężkiej chwili. Dlatego prosimy o jak najszybsze wstawienie się i ponowne włączenie do oddziałów III Rzeszy, aby walczyć w imię Führera Adolfa Hitlera i całej Rzeszy Niemieckiej.

*Z poważaniem
gen. Walter Krüger*

Poczułem się bardzo szczęśliwy, wiedziałem że państwo znowu mnie potrzebuje, lecz z drugiej strony czułem rozpacz, że muszę opuścić rodzinę i nie będę w stanie jej ochronić. Nie mogłem zignorować informacji o ponownym włączeniu do oddziałów Wehrmachtu, ponieważ to świadczyłoby o zdradzie Państwa i pewnie by mnie rozstrzelali. Poszedłem z tą informacją do rodziny, która z niepokojem czekała jakichkolwiek wieści. Powiedziałem im, że potrzebuje mnie III Rzesza i muszę śpieszyć jej z pomocą. Zgodzili się, choć przez długi czas trudno było nam się rozstać, pożegnałem moje spokojne życie, moją Bielawę, wziąłem spakowane walizki i odjechałem z żołnierzami.

19 sierpnia 1940

Jestem już w Berlinie. Całe miasto pogrążone jest w chaosie po informacji, że wojska radzieckie są już pod Warszawą. 10 minut temu odbyłem wizytę u gen. Waltera Krügera, który przydzielił mnie do sztabu taktycznego obrony Dolnego Śląska. Po obiedzie z dowódcą sztabu poszedłem zapoznać się z resztą współpracowników, którymi byli sami ważni ludzie z wojska. Do nocy omawialiśmy sprawy taktyczne, jak zbudować potężną linię obrony nie do przebicia.

20 sierpnia 1940

Pracowałem chyba do godziny 2 w nocy, niestety nie udało się nam zakończyć planowania obrony wyznaczonych celów. Jestem dzisiaj bardzo zmęczony, a wiem, że przede mną jeszcze wiele pracy.

Niestety, o godzinie 12.25 dotarł do nas komunikat, że armia radziecka jest bliżej niż się uprzednio spodziewano. Była to wiadomość szczególnie zła dla mnie i moich współpracowników, gdyż informacja ta uświadomiła nam, że nie zdążymy z budową linii obronnej Dolnego Śląska. Pierwsze co postanowiliśmy to rozmieszczenie jak największej ilości jednostek na linii Trzebnica – Wrocław – Nysa. Mieliśmy nadzieję, że takie rozwiązanie będzie wystarczające na choćby opóźnienie wojsk radzieckich. Musieliśmy tylko czekać na rozwój sytuacji. Na dzisiaj już mi starczy stresu, muszę się położyć, muszę odpocząć.

21 sierpnia 1940

Obudziłem się bardzo wcześnie, w sumie nie... zostałem obudzony. Nasz plan się nie powiódł i Rosjanie przebili się do Wrocławia. Od razu zacząłem wydzwaniać do mojej ukochanej rodziny, aby ich ostrzec o niebezpieczeństwie. Niestety nikt nie odbierał choć próbowałem parokrotnie. Niecały kwadrans po godzinie 15.00 dostałem informacje od jednego z szeregowych, że wojsko radzieckie jest już pod Wałbrzychem, w tej chwili dotarło do mnie, że moja rodzina może już nie żyć, niestety nie myliłem się, po 17.48 dowiedzieliśmy się, że wszyscy żołnierze wraz z ludnością niemiecką zostali brutalnie wymordowani przez Rosjan. Idę spać we łzach cały czas myśląc, że nie było mnie przy nich w tej strasznej chwili.

22 sierpnia 1940

Mam już potwierdzenie, moja cała rodzina została wymordowana. W tej chwili nie znam dalszego sensu życia, ponieważ straciłem coś, o co walczyłem przez całe swoje życie, o wolność i bezpieczeństwo nie tylko moje, ale przede wszystkim mojej kochanej żony i dzieci. O godzinie 15.00 dowiedziałem się, że ruskie są już pod Zgorzelcem i lada dzień wkroczą do Berlina. Godzina 17.30 – zdecydowałem, że nie mogę dłużej żyć – moja rodzina nie żyje, postanowiłem do nich dołączyć.

Pod koniec XIX wieku w Bielawie mieszkały dwie panie, które fascynowały się historią minionej epoki. Lubiły słuchać o skarbach i marzyły o tym, by je kiedyś odnaleźć.

Pewnego wiosennego dnia postanowiły przejść przez las, aby udowodnić wszystkim mieszkańcom, że nie krąży nad nim żadna kłątwa. Szły, szły i szły... i nic się nie działo, a gdy były już w połowie drogi, zauważyły jakiś budynek.

Pierwsza z kobiet pomyślała sobie, że ktoś tam mieszka i powiedziała, że lepiej tam nie wchodzić. Druga okazała się odważniejsza i namówiła swoją koleżankę do wejścia. Gdy otworzyły drzwi, zobaczyły różne przedmioty, m.in.: mąkę, wagę, zboża (kukurydzę, pszenicę, żyto), maszynę do mielenia mąki, koło napędzane przez wodę oraz worki na zmieloną mąkę.

Bardzo się ucieszyły, bo odkryły coś, o czym nikt nie wiedział. Chwilę potem z ciekawości wyjrzały przez okno i zobaczyły mieszkańców Bielawy, którzy spokojnie spacerowali po moście. Po około pięciu minutach wyszły z młyna i opowiedziały mieszkańcom swoją przygodę.

W ten oto sposób odkryto stary młyn, a dwie panie stały się odkrywcami, o czym zawsze marzyły.

Pod wielkim młynem

Po zimnej nocy nadszedł wiosenny poranek. Handel powoli budził się do życia, a lekki wiatr swawolnie rozganiał kłębiaste chmury. Był to kolejny spokojny dzień dla mieszkańców miasteczka, a mimo to nadal pełen trosk i pracy. Cichy, pracowity poranek. Czas, w którym ludzie wychodzą z domów i powoli rozkładają swoje małe stragany. Zwierzęta Gór Sowich pierwszy raz po kilku mroźnych miesiącach wyszły na światło dzienne, ptaki wróciły do swoich ciepłych gniazd i dały życie kolejnemu pokoleniu. Piękno przyrody zawsze zachwyca.

W okolicy powoli budzącej się do życia słychać było ciche rozmowy, które z upływającym czasem stawały się coraz bardziej gwarne. W tle rozbrzmiewał głos wodnego młyna powoli mielącego ziarna pszenicy.

– Joanno! Remigiuszu! – rozległ się krzyk kobiety, zwracającej się do swoich pociech biegnących w stronę młyna.

Dzieciaki nie słyszały wołania bądź nie chciały go usłyszeć. Za bardzo były zajęte zabawą. Po chwili do zatroskanej matki podszedł wysoki, przystojny mężczyzna najwidoczniej zainteresowany sytuacją.

– Ech, te dzieci... – westchnął. – Jak zwykle pełne energii, nie? – powiedział spokojnym głosem i najwyraźniej powstrzymał się przed objęciem kobiety ramieniem, ta jednak milczała. Spojrzała na niego i posłała mu smutne, podenerwowane spojrzenie. Młody mężczyzna odszedł bez słowa, zasłaniając ręką oczy przed promieniami wiosennego słońca wyłaniającego się znad budynków Bielawy.

Na środku drogi zebrała się grupa ludzi, chcących pewnie wymienić się poglądami na różne ważne i mniej ważne tematy.

Joanna i Remigiusz nie mieli zamiaru niczym się przejmować. Biegali beztrosko po okolicy, bawiąc się, śmiejąc i czerpiąc energię z porannego słońca. Matka rozmawiała z zebranymi ludźmi, jednak

co chwilę patrzyła na swoje pociechy. Grupka innych ludzi przyglądała się jej ze zdziwieniem. Nie rozmawiali jednak o niej – większość pomyślała tylko: „Ech, te wiecznie zatroskane matki!” i powróciła do swoich problemów.

Młyn mełł pszenicę, a dźwięk mielenia, słyszany w całej dzielnicy, rozbrzmiewał wspólnie z gwarem budzącego się miasteczka.

Za młynem rozciągały się łąki i lasy, a w oddali widać było ciągnące się pasmo Gór Sowich. Tutejsi przestali zwracać uwagę na ich piękno, ale za to miłośnicy gór opisywali ich urodę prozą i wierszem. Lasy i łąki otaczające młyn i ulicę były naprawdę godne uwagi. Było w nich coś majestatycznego i tajemniczego.

Grupka ludzi stała na ulicy już od jakiegoś czasu i wydawało się, że mogli tak rozmawiać bez końca. Matka dwójki dzieci oświadczyła reszcie, że musi już kozy wydoić, a przy tym dzieciaki przyuczać, bo one przejmą kiedyś gospodarstwo rozciągające się pod lasem. Kobieta jeszcze pokazała coś gestem i powoli oddalała się w stronę gospodarstwa. Joanna i Remigiusz ruszyli niechętnie za matką, gdy uświadomili sobie, że nie ominie ich nauka dojenia.

Atmosfera na drodze pod młynem się nie zmieniła. Pozostali zebrani kiwnęli tylko głowami i powrócili do zajmujących ich rozmów. W oddali słychać było porykiwanie krów i pianie kogutów, czyli – codzienność.

Tematy rozmów grupy ludzi się zmieniały. Rozmawiano o wnukach, o pracy, plotkowano i gawędzono w najlepsze. Po jakimś czasie do grupki ludzi podeszła niska, zgarbiona staruszka, widocznie przeciwna temu całemu zbiorowisku. Miała pomarszczone czoło i policzki, i zwisające powieki. Nieufnym wzrokiem patrzyła na rozgadanych ludzi, aż wreszcie się odezwała:

– A wam pracy nie za dużo? – spytała ironicznie groźnym, chociaż drżącym głosem, trzymając w ręku wielkie torby. – Tylko gadać potraficie, a starszym już pomóc nie chcecie – dodała.

Zgarbiony, silny mężczyzna chwycił wielkie wory i uginając się pod ich ciężarem, ruszył drogą w kierunku młyna.

Zbliżała się pora obiadu i dyskutanci rozeszli się. Większość wróciła do domów, aby wspólnie zasiąść przy stole. Niektórzy mieli ten stół bardziej obfity, a niektórzy mniej.

Gwar w dzielnicy ucichł...

Ciągle jednak rozbrzmiewał głos młyna, który powoli mełł ziarna pszenicy.

W szklanej kuli

Pewnego majowego dnia leżałam na łące otoczona zewsząd zapachem polnych kwiatów. Szum wiatru delikatnie bawił się z zielonymi koronami drzew, a promienie słońca padały na moje pełne spokoju skronie. Z dała od smutków i trosk, w szklanej kuli mojej wyobraźni w pogoni za królikami, wpadłam w sen niczym do króliczej nory.

Byłam jaskółką. Leciłam wolna, widząc z góry urokliwe lasy, pola, miasta i domy. I choć lot nie męczył mnie wcale, postanowiłam odpocząć pod rozłożystą koroną drzewa od tych niezwykłych przeżyć.

Po chwili ujrzałam ludzi zmierzających ścieżką do lasu. Była to grupa młodych ludzi, którzy postanowili odpocząć po ciężkiej pracy. Każdy z nich był ubrany w strój z pewnością niewspółczesny. Właściwie niewspółczesny dla mnie. Przyjemny chłód, jakim kusiły drzewa, dawał wytchnienie każdemu, kto miał ochotę z niego skorzystać. Żartując, przyjaciele rozprawiali ze sobą o codzienności. Po chwili usłyszałam coś, co bardzo mnie zaciekało. Sfrunęłam na niższą gałąź, by lepiej usłyszeć ich rozmowę.

Tego ranka mały chłopiec pomagając matce przy pracy w ogrodzie, znalazł zakopaną w ziemi skrzynkę ze zbutwiałego drewna, w środku zaś niewielki, czarny notes zapisany drobnymi, pochyłymi literami – mały skrawek przeszłości, nieznaną opowieść utrwaloną na zawsze słowem na papierze. Była to historia Anny, siedemnastoletniej dziewczyny mieszkającej tu przed laty.

Dni dziewczyny były zwyczajne, wypełnione pracą w młynie i pomocą rodzicom. Była zakochana w pewnym chłopcu, ale ponad wszystko kochała swojego młodszego brata. Ulotne szczęście jednak przyszło. Pewnego dnia jej ukochany braciszek utonął w potoku. To złamało jej młode serce. W czarnej książeczce spisała wszystkie ulubione bajki, które co wieczór opowiadała chłopcu do snu, zamknęła ją w skrzynce i zakopała w nadziei, że będą kiedyś pociechą dla innego dziecka.

Wyrwana kartka urwała tę historię i pozostawiła jej koniec nieodgadnionym, co stanowiło dobry temat do dyskusji. Odpocząwszy, przyjaciele wstali i ruszyli w dalszą drogę. Rozmawiali o zakończeniu historii młodej młynarki, puszczając wodze fantazji. Może Anna wciąż jeszcze żyje? A może śmierć ją dawno zabrała? Zwykła opowieść, która nigdy nie została dokończona...

Wtem podmuch wiatru poruszył gałęziami, a ja poderwałam się do lotu.

I to właśnie wtedy obudziłam się na kwiecistej łące z najbardziej prawdziwego i niezwykłego snu w całym moim życiu. Co dalej stało się z tymi ludźmi i dziennikiem, nie wiem. Wiem tylko, że ta opowieść nieraz jeszcze spędzała mi sen z powiek. Kto wie? Może kiedyś ktoś napisze zakończenie tej urwanej historii...

Szłam wzdłuż gór i zachwycałam się pejzażem. Jestem fotografem i chciałam ująć na jednym zdjęciu piękno przyrody. Szłam zafascynowana. Nagle poczułam przeszkodę.

– Au! – usłyszałam chłopięcy głos i spojrzałam na jego właściciela.

Chłopcu rozsypały się jabłka i teraz nerwowo je zbierał. Schyliłam się i pomogłam mu, a on uniósł swoje cudowne zielone oczy i spojrzał na mnie.

– Dzię...ku...ję – wydukał. – I przepraszam... Przepraszam, że wpadłem na panią.

– Nic się nie stało – uśmiechnęłam się promiennie do niego i jego twarz rozjaśniła się delikatnie. – Masz jakąś torbę na te twoje jabłka?

– Nie... – odparł znowu wystraszony.

– Więc pomogę ci. Zaprowadzisz mnie?

– Tak! – krzyknął uradowany chłopiec. – A tak w ogóle, to Maciek jestem.

– A ja Marlena.

– No to chodźmy – już w o wiele lepszym nastroju Maciek zaczął prowadzić nas w kierunku przeciwnym do mojej wcześniejszej wędrówki.

Minęliśmy mój dom, przeszliśmy przez rzekę i ukazał nam się uroczy domek. Był biały. Przypominał dom wielorodzinny, ale Maciek wspomniał, że tylko oni tam mieszkają.

– To tutaj – rzekł Maciek.

Weszliśmy do domu. W środku byli jego rodzice i rodzeństwo, którzy lustrowali mnie wzrokiem. Poczułam się lekko speszona, przez co na moich policzkach prawdopodobnie pojawił się lekki rumieniec.

– Mamo, tato, to jest pani Marlena. Pomogła mi przynieść jabłka, bo torba się podarła – w tym momencie spuścił głowę, najwidoczniej bał się swojej głupoty.

– Dzień dobry – uśmiechnęłam się szeroko, jak zawsze zresztą. –

Jak już Maciek wspomniał, nazywam się Marlena i pomogłam mu z jabłkami.

Mama Maćka wstała i podeszła do mnie.

– Proszę mi to dać – powiedziała i uśmiechnęła się łagodnie. – Czy zechciałaby pani zostać na obiedzie?

– Jeśli można...

– Wspaniale! Henry, nakryj do stołu.

Jej mąż wstał, a ona zniknęła w kuchni. Usiadłam w fotelu i Maciek pokazywał mi przeróżne zdjęcia w ich rodzinnym albumie.

Po całym tym zdarzeniu jakoś zaprzyjaźniłam się z rodziną Nowaków, gdyż tak mieli na nazwisko. Codziennie widywałam się z Maćkiem. Uczylałam go alfabetu, pisania, czytania i liczb, ponieważ Maciek nie został przyjęty na ten rok do szkoły. Był on przeuroczym chłopcem. Razem chodziliśmy na jabłka, które cała ta rodzina uwielbiała.

Pewnego dnia miałam wolne w pracy, postanowiłam więc sfotografować rodzinę Nowaków. Ale nie ustawionych obok siebie na baczność, o nie, ja marzyłam, by zatrzymać na jednym obrazie jeden moment ich życia. Chciałam ich sfotografować, jak wracają ze spaceru na jabłka. Szybko pobiegłam po aparat i podeszłam pod ich dom. Oczywiście nie miałam zamiaru wyjawić im swoich planów i schowałam się w krzakach. Akurat kilka minut później wracali, więc szybko ustawiłam aparat i... jest! Mam ich zdjęcie! Udało się! Poczekalam, aż wszyscy wejdą do domu, i poszłam do siebie.

Rano jak zwykle szłam do Nowaków, tym razem ze zdjęciem dla nich.

– Boże! – wykrzyknęłam i skamieniałam.

Dom Nowaków stał w płomieniach! Usłyszałam krzyki i smród palonych ciał.

– Pomocy! – łkałam. – Niech ktoś zgasi ten pożar! – krzyczałam.

Poczułam, jak coś kapnęło. Deszcz! Zaczął padać gęsty deszcz, który ugasił płomień. A ja dalej kłęczałam. W deszczu. Płacząc. Minęła godzina, może dwie. W końcu podniosłam się i dalej zalana łzami poczułam do domu. Tam, zmęczona, usnęłam.

Rano włożyłam czarną suknię na znak żałoby. To jedyna rzecz, jaką mogłam zrobić dla Nowaków w tej chwili. Czekałam za biur-

kiem na klienta, a że się spóźniał, znudzona pukałam co jakiś czas w biurko. Nagle drzwi gwałtownie się otworzyły:

– Przepraszam, pani Marleno... Ja bardzo... – wysapał zmęczony klient. – Czy... czy ktoś zmarł? – spytał zaniepokojony.

– To pan jeszcze nie wie? – spytałam zdziwiona i sięgnęłam po fotografię rodziny Maćka. – Proszę spojrzeć, ten dom wczoraj spłonął... łącznie z mieszkańcami – poczułam łzy w oczach, jednak klient z niedowierzaniem patrzył na zdjęcie.

– Ale... ale ja przechodziłem koło tego domu i on jest cały. Proszę mi wierzyć. Do tego od roku jest do wynajmu u pani Czeladzkiej...

– Jak to?!

– No taka prawda... Chce pani, to można by teraz podejść...

– To na co czekamy?! Chodźmy! – i wybiegłam jak oparzona, nie czekając na klienta, który z trudem biegł za mną. Po kilku minutach stanęłam przed domem Nowaków. Był cały. Wisiała na nim tabliczka z napisem: „DO WYNAJĘCIA”. Nie było żadnych lokatorów. Jak to? Jak to możliwe?

Powoli podniosłam fotografię do góry: na tle drzew i polany ze ściętymi pniami państwo Nowakowie z dziećmi. Tylko Maciek idzie sam. W tle biały, wielorodzinny dom i góry. Góry, które tak kocham. Delikatnie obróciłam zdjęcie i zaniemówiłam. Na odwrocie było napisane: „Pani Marleno, gdy będzie pani jeść jabłuszko, proszę o nas pamiętać – Maciek”.

Fotografia. Tylko ona została po rodzinie Nowaków.

Pewnego dnia mieszkający przy ulicy Nowowiejskiej pan Stasiék, przechodził przez mostek prowadzący do jego domu. Nagle zauważył małego pieska, który leżał na drodze. Postanowił wziąć go do swojego domu.

Na początku piesek długo czuł się nieswojo. Trudno było mu się przyzwyczaić do nowego otoczenia. Pan Stasiék nakarmił znajdę i poszedł spać. Rano chciał wyjść na spacer z psem, lecz zwierzaka nie było. Szukał psa wokół pobliskich domów. Zauważył go w końcu na tej samej drodze, na której go znalazł. Piesek wstał i zaczął prowadzić pana przez łąki. Zatrzymał się przy ogrodzeniu, gdzie szli ludzie w pięknych strojach. Pan Stasiék razem ze swoim towarzyszem poszedł za nimi. Nagle się zatrzymali. Po drugiej stronie drogi stał piękny młyn. Przechodnie obserwowali ruchy koła. Budynku pilnowały piękne psy, do których podbiegł ten przygarnięty przez Stanisława. Okazało się, że są to jego bracia.

Pan Stasiék postanowił zająć się nimi. Kupił dom obok pobliskiego młyna, zamieszkał w nim i zaczął pracować jako młynarz. A psy pilnowały jego dobytku.

Słoneczny dzień

Niedawno zaczęło się lato. Słoneczny dzień, bezchmurne niebo i do tego niedziela. Wraz z bratem, Wiktorem, obudziliśmy się wczesnym rankiem i wyszliśmy, aby pomóc rodzicom przy zwierzętach. Już po chwili konie zostały wypuszczone na łąkę, kury nakarmione, a nasza jedyna krowa, Lucka, muczała zadowolona. Usiadłam przed domem i trudziłam się ze zdjęciem gumiaków. Za moimi plecami brat próbował sięgnąć do rękawic leżących na półce. Po paru minutach słuchania jak skacze, westchnęłam i ustawiłam pod szafą stojące niedaleko blaszane wiadro. Gdy Wiktor założył upragnione rękawice, poszliśmy do taty pomóc mu w stajni. Praca była męcząca, a my mali i słabi, ale udało się nam przerzucić słomę, nalać świeżej wody, a nawet posprzątać kurnik.

Około dziewiątej mama zawołała nas na śniadanie. Zamiast pojechać do domu jak Wiktor, stanęłam na palcach przy płocie i przyglądałam się ulicy prowadzącej do młyna. Otaczały mnie niedawno odmalowane domy, a dalej ogromny las, który tętnił życiem. Do moich uszu dobiegał świergot ptaków i ledwo słyszalny szum liści. Wciągnęłam głęboko w płuca powietrze. Pachniało latem. Jak cudownie byłoby pójść na wycieczkę! Westchnęłam. Rodzice nie mają na to czasu, bo w gospodarstwie zawsze jest coś do zrobienia. I choć starają się tego nie okazywać, boją się, wiem o tym. Boją się wojny. Boją się tak jak i ja, jak dziadkowie, jak wszyscy. Chciałabym, aby choć na chwilę mogli oderwać się od trosk. Muszę coś z tym zrobić!

Pobiegłam do domu i już w progu zawołałam:

– Chodźmy do lasu! Na wycieczkę! Tak dawno tam nie byliśmy!

Stanęłam przed rodzicami:

– Proszę! Bardzo proszę!

Coś musiało być w moim głosie, bo po cichej rozmowie mamy z tatą, dowiedzieliśmy się, że za pół godziny wyruszamy.

– Wyruszamy do naszego nieba – powiedziała mama, przytulając mnie do siebie.

Duch w młynie

Pewnego jesiennego popołudnia byłam bardzo szczęśliwa, ponieważ miała nocować u mnie moja przyjaciółka Maja. Nasi rodzice wybrali się na zabawę taneczną i planowali wrócić nad ranem. Gdy nadeszła godzina dziewiętnasta, pożegnaliśmy rodziców i zaczęliśmy świętować wspólny niecodzienny wieczór.

Potem poszliśmy po naszą koleżankę Martynę. Powiedziała nam, że w młynie są duchy. Byłam wstrząśnięta, bo strasznie się ich boję. Maja nie uwierzyła w historię o duchach, a Martyna powiedziała, że jeżeli zechcemy, to udowodni nam ich istnienie, ale musimy tę noc spędzić w młynie. Nie chciałam tego, ale nie wiedzieć czemu się zgodziłam. Umówiliśmy się, że o dwudziestej spotkamy się na miejscu. Na chwilę wróciliśmy do domu po niezbędne spiwory i karimaty.

Było już ciemno, kiedy wyszliśmy. Martyna pomachała nam latarką, abyśmy szybko ją zauważyły. Pędem pobiegliśmy do niej. Otworzyliśmy powoli drzwi młyna i weszliśmy do środka. Szukałyśmy jakiegoś przytulnego miejsca na rozłożenie spiworów. Obeszłyśmy wewnątrz młyna i nikogo nie zauważyłyśmy. Po chwili usłyszałyśmy jakieś dziwne odgłosy. Ze strachu chciałam natychmiast wracać do domu, ale Martyna powiedziała, że musimy tu spędzić co najmniej trzy godziny, żeby mogła nam istnienie duchów udowodnić. Gdy weszliśmy na strych, zauważyłam, że palące się świeczki zaczęły latać. Zemdlałam ze strachu, ale po kilku minutach ocknęłam się. Dziewczyny były przerażone, ale udawały spokojne, bo martwiły się o mnie. Powiedziały mi, że już nie słychać żadnych odgłosów. Starałam się szybko zasnąć, trzymając Majkę za rękę.

Rano, gdy się obudziłyśmy, zobaczyłyśmy pełno kamer i mikrofonów. Naszej koleżanki Martyny nigdzie nie było. Okazało się, że „wielbicielka duchów” zabawiła się naszym kosztem w zabawę „Mamy cię!”.

Początkowo byliśmy na nią wściekle, ale z czasem złość ustąpi-

ła miejsca radości i miałyśmy się z czego śmiać. Potem szybko pobiegłyśmy do domu, gdzie czekali na nas prawdziwie rozgniewani i przestraszeni naszą nieobecnością rodzice.

Ta wakacyjna przygoda na zawsze zostanie w naszej pamięci, a młyn kojarzyć się nam będzie z duchami, a znacznie mniej z produkcją mąki.

Niesamowity dzień Marcina

Był wiosenny poranek. Wszystko powoli budziło się do życia. Dzieci pełne energii szły do szkoły, a dorośli, nieco mniej entuzjastycznie, do pracy. Wyjątkiem był nastoletni Marcin, który tego poranka niechętnie wstał z łóżka. Był świadomy, że to będzie dla niego znowu kolejny, szary dzień.

Drogę do szkoły pokonywał w kilka minut, dlatego też nie śpiesząc się zbyttnio, wyszedł z domu, zjadając po drodze grzanki, które miał na śniadanie. Szedł powoli, rozmyślając o swojej ukochanej. W jego uszach rozbrzmiewała ulubiona piosenka. Twierdził, że jest o życiu, lecz nikt jakoś nie rozumiał tych słów. Wszedł do klasy kilka minut po dzwonku, lecz polonista nie zwrócił na niego uwagi. Zajęty był bowiem recytowaniem poematu. Tak, zresztą codziennie, zaczynała się każda lekcja języka polskiego. Następnie była lekcja matematyki, fizyki i biologii, lecz nie działało się na nich nic ciekawego. Ostatnimi zajęciami Marcina była muzyka. To poprawiło mu humor, ponieważ uwielbiał wszystko, co było związane z tym przedmiotem.

Pani Marecka na każdej lekcji chciała zawsze robić z uczniami coś innego. Tym razem miała być to nauka gry na gitarze. Na wieść o propozycji nauczycielki, Marcin bardzo się ucieszył. Pierwszy zgłosił się na ochotnika i poszedł na środek klasy, gdzie pani Marecka dała mu zapasową gitarę, a sama, trzymając swoją w rękach, powoli zaczęła grać. Wszyscy uczniowie bacznie przyglądali się, aż Marcin powtórzy chwytty pokazane przez nauczycielkę i zagra. Chłopcu trzęsły się ręce, ale krok po kroku szarpał struny gitary. Na początku dźwięki wydawane przez instrument nie były podobne do całego utworu, ale po każdej próbie Marcinowi szło coraz lepiej. Po kilkunastu minutach dźwięki były płynne, a chłopak złapał rytm. Cała klasa była oczarowana. Nagle młodzieniec zaczął grać w innym rytmie, wolnym, ale miłym dla ucha. Do tego doszły słowa piosenki,

które brzmiały niczym miłosna ballada. Nikt nie spodziewał się, że ten trochę dziwny i cichy chłopak ma w sobie taki talent muzyczny. Gdy Marcin skończył grać, w oczach jego koleżanek pojawiły się łzy wzruszenia, a klasę wypełniły oklaski. Chłopak momentalnie zarumienił się, ale gdy chciał coś powiedzieć, zabrzmiał dzwonek i wszyscy zaczęli wychodzić. W jednej chwili Marcinowi przyszedł do głowy pomysł. Poprosił nauczycielkę, aby mu pożyczyła gitarę. Gdy się zgodziła, chłopiec wybiegł z klasy z instrumentem w rękę i pobiegł do wyjścia. Stamtąd udał się w stronę Górnego Młyna, gdzie mieszkała Sandra – młoda, rudowłosa dziewczyna, w której Marcin podkochiwał się od dawna. Tego dnia postanowił wyznać jej swoje uczucie, lecz nie wiedział jak, aż do lekcji muzyki.

Uświadomił sobie, że przecież może zagrać balladę, w której zaśpiewa, jak bardzo ją kocha. Po kilkunastu minutach biegu, chłopak był już na łące, koło młyna, gdzie Sandra najczęściej siedziała i czytała, wsłuchując się w odgłosy przyrody. Tym razem również tam była. Na jej widok Marcinowi serce zaczęło mocniej bić, a nogi miał jak z waty. Powoli zbliżał się do dziewczyny, a jego palce, ułożyły się w chwyt, od którego zaczynał się utwór. Dźwięki szarpanych strun rozległy się dookoła. Zaskoczona dziewczyna spojrzała na Marcina, nie dowierzając, że chłopak gra specjalnie tylko dla niej. Wsłuchując się w jego głos, wstała i powoli podeszła do niego. Nastolatki nie zauważyli, że przed młynem zgromadziła się, zaciekawiona tym, co dzieje się na łące, spora grupa ludzi.

Wszyscy w ciszy słuchali, jak Marcin, z wielkim uczuciem, gra na gitarze i śpiewa romantyczną pieśń. Gdy skończył, spojrzał w oczy dziewczyny, która momentalnie rzuciła się w jego ramiona. Wszyscy dookoła zaczęli klaskać. Sandra tylko szepnęła coś Marcinowi na ucho, a jego twarz momentalnie się rozpromieniła. Z ruchu jego warg, można było odczytać słowa „ja ciebie też”.

Od tej pory polana przy młynie stała się ulubionym miejscem spotkań wszystkich bielawian, a wieść o parze zakochanych rozniosła się po całej okolicy. Jeszcze przez wiele dni mieszkańcy Bielawy nucili piękną balladę Marcina...

Duch w wodnym młynie

Nazywam się Małgorzata Kowalska i pochodzę z Bielawy, tak samo jak moi dziadkowie. Mój dziadek Lucjan był wspaniałym człowiekiem, bardzo lubiłam słuchać jego opowieści z czasów, kiedy był jeszcze dzieckiem. Właśnie jedną z nich chciałabym wam opowiedzieć.

Był letni ciepły dzień i zbierało się na burzę. Razem z chłopakami poszliśmy do starego wodnego młyna. Weszliśmy na strych i przez małe okienko obserwowaliśmy mieszkańców. Panie chodziły wtedy w pięknych dużych kapeluszach i bardzo kolorowych, długich sukniach. Sąsiedzi często spotykali się na drodze, która prowadziła do młyna, gdyż w Bielawie była to jedyna droga, a przed młynem stały ostatnie domostwa. Z okna stryszku słychać było rozmowy i śmiechy sąsiadów i można było obserwować, jak ludzie spędzają czas. Niestety, rodzice nie pozwolili mi chodzić w pobliże wodnego młyna, ponieważ był on od dawna nieczynny i było tam niebezpiecznie. Gdy więc znów tam poszliśmy, rodzice postanowili dać nam nauczkę. Wiedzieliśmy, że w młynie zmarł jego właściciel i już dawno krążyła legenda, że tam straszy, ale jakoś nigdy nam się nic nie przydarzyło. Aż do tego dnia. Siedząc na stryszku i obserwując mieszkańców, usłyszeliśmy dźwięk jakby ciężkich łańcuchów. Wystraszyliśmy się, ale postanowiliśmy „to” sprawdzić. Kiedy schodziliśmy po schodach na dół, naszym oczom ukazała się biała postać w kajdanach. Uciekaliśmy stamtąd w popłochu i od tej pory postanowiliśmy podziwiać młyn z daleka. Po powrocie do domu tato spytał mnie, jak minął mi dzień i co robiłem. Byłem blady i tak zdenerwowany, że nie mogłem wykrztusić z siebie słowa.

Dopiero po latach, kiedy już dorosłem, tato powiedział mi, że wraz z sąsiadami postanowili dać nam nauczkę. Znaleźli stare łańcuchy na bydło i poprosili jednego ze znajomych, który mieszkał w Dzierżoniowie, o przysługę. W młynie wypudrowali go całego mąką i mu-

sieli mieć niezły ubaw, gdy stamtąd uciekaliśmy. Sam bardzo długo się z tego śmiałem, gdy tato powiedział mi prawdę.

Niestety, przyszedł rok 1939 i zaczęła się druga wojna światowa. Był to dla nas bardzo ciężki okres. W 1940 roku w wyniku bombardowania lotniczego, młyn został zniszczony. Musiałem wyjechać na front i bronić naszej ukochanej ojczyzny. Bardzo tęskniłem za Bielawą, Górami Sowimi, naszym młynem. Po powrocie do mojego miasta postanowiłem, że zaraz po wojnie zbiorę ekipę i odbudujemy młyn. Straszny czas okupacji skończył się w 1945 roku. Niestety, z mojej ekipy kolegów i przyjaciół zostałem tylko ja i Franek. Nasze mrzonki odbudowania młyna były nierealne, bo było nas za mało. Ale marzenia pozostały.

I tak zakończyła się jedna ze wspaniałych opowieści dziadka. Wszystkie były bardzo interesujące i słuchało się ich z ogromnym zaciekawieniem. Niestety, dziadek Lucjan zmarł, kiedy miałam 16 lat. Bardzo tęsknię za nim i za jego opowieściami. W przyszłości mam zamiar napisać książkę ze wspomnieniami dziadka Lucjana.

Kobiety z młyna

Nad horyzontem wstawał nowy piękny dzień, oświetlając jeszcze nieśmiało promieniami okolice Bielawy, w które powoli zawitała jesień. Liście drzew w zielonej letniej barwie nadal kołysały się na wietrze, lecz już gdzieś tam upstrzyły je delikatnie brąz i czerwień. Powietrze stało się zimniejsze, a wysokie temperatury ustąpiły niższemu. Jednak zmiana pory roku z cieplejszej na zimniejszą nie zaburzała rytmu życia wielu istotom. Paniom z młyna też.

Były to cztery siostry: najstarsza i zarządzająca wszystkim Zofia, poważna, rozsądna i darząca każdego przyjaznym uśmiechem Bogumiła, zawsze służąca dobrą radą Zuzanna i ciągle czymś rozweselona Wiesława, której nie dało się nie lubić. Te cztery kobiety prowadziły od paru dobrych lat młyn w górnej Bielawie.

Było to nietypowym zjawiskiem i zważywszy na fakt, iż w tamtych czasach to mężczyźni wykonywali tego typu pracę, budziło u niektórych podziw, a u innych wręcz niesmak. Ja bym raczej nazwał to pewnego rodzaju walką o równouprawnienie kobiet i obalenie dyskryminujących je praw tamtego wieku.

W domostwie mieszkała też dwójka dzieci: Hanna – siedemnastoletnia córka pani Zofii oraz siedmioletni Tomasz – syn pani Wiesławy. Wesoło było w domu. Chłopczyk, trochę rozrabiaka, wszystkim robił zabawne psikusy, które za każdym razem uchodziły mu dzięki pobłażliwości dorosłych. Hanna, z wyglądu rozsądna i poważna, była ciągle zakręcona i, można powiedzieć, żyła w własnym świecie, przez co zawsze strzelała głupkowate gafy.

Choć nastał sobotni poranek, zachęcający wręcz do dłuższego pożenia w łóżku, cała rodzinka Młynarskich już od dawna stała na nogach. Każdy, jak co dzień, miał do spełnienia ważny obowiązek dla dobra całej rodziny. Bogumiła pichciła coś w kuchni, przyciągając smacznym zapachem gotowanej potrawy wszystkich w pobli-

żu. Reszta sióstr pracowała w pocie czoła w młynie, podając sobie ciężkie wory i dopilnowując, żeby cały proces otrzymywania mąki przebiegał prawidłowo. Ból kręgosłupa i inne powikłania znacznie dawały się we znaki kobietom, lecz one, twarde i wytrzymałe jak koń, ani na chwilę nie przerywały żmudnej pracy. Mały Tomasz właśnie doglądał kur, jednak w pewnym momencie zdudziło mu się to zadanie i postanowił dla zabawy ganiać za tymi ptakami. Skakał, krzyczał i śpiewał szczęśliwy, że może się oddać ulubionemu zajęciu. Hanna w białym fartuszkowi dokładnie zamiatała podłogi, nucąc sobie pod nosem jakąś piosenkę. Skupiona na miotle weszła do przytulnej kuchni, wyglądając, jakby nie zdawała sobie sprawy, co tak naprawdę robi.

– Ach, tylko nie to! – krzyknęła przerażona Wiesława.

– Coś zbiłam? – spytała Hanna obudzona z głębokich rozmyślań.

– Nie, moje dziecko. Gorzej. Widzę dziurkę.

– Gdzie?

– W mojej sukience – stwierdziła smutno Wiesława, ponuro spoglądając na „rozejście się” kolorowego materiału.

– A tam, ciociu – machnęła ręką Hanna. – Przecież to stara suknia.

Kupisz sobie nową.

– Nawet czegoś takiego nie mów. Nie jestem bogatą panią, która nosi piękne ubrania, a kobietą ciężko pracującą.

– Ale...

– Idźże mi, Hanusiu, do miasta po nitkę – Wiesława spojrzała słodkim wzrokiem na siostrzenicę. – Bardzo cię proszę.

I nawet Hanna się nie obejrzała, a już z kilkoma pieniążkami w rękę podążyła do sklepu. Trzeba wiedzieć, że droga do miasteczka była daleka, więc panią, nie spiesząc się za bardzo, dopiero po ponad półtorej godzinie dotarła na miejsce. Poszła do niewielkiego sklepu na rynku, zagadując się trochę z przesympatyczną sprzedawczynią. Przed drogą powrotną postanowiła przysiąść jeszcze na ławeczce i dać odpocząć zmęczonym nogom. Patrzyła z podziwem i zamyśleniem, jak puszyste chmurki przemieszczają się leniwie po błękitnym niebie, gdy usłyszała melancholijny śpiew jakiegoś chłopczyka. Znała tę smutną piosenkę. Zmrużyła oczy i powoli skierowała wzrok na dziecko siedzące samotnie nieopodal drugiej ławeczki.

Też patrzyło w niebo, ale Hannę mocno zastanawiał fakt, że można śpiewać coś tak smutnego, patrząc w coś tak pięknego jak niebo. Podeszła bliżej do chłopca i przyjrzała mu się uważnie. Nagle spojrział ponuro na Hannę i zapytał:

– Ma pani może coś do jedzenia? Nie jadłem nic od wczoraj.

– Jak to? – spytała, próbując zahamować łzy cisnące się jej do oczu.

– Gdzie twoja mama?

– Nie mam – znowu spojrział w niebo. – Tam jest.

Hannie nie trzeba było chwili, żeby pomyśleć nad tą sytuacją. Wyciągnęła przyjaźnie rękę do chłopczyka i razem z nim wróciła do domu.

– Cóрко! – zawołała z daleka pani Zofia. – A kto to jest?

– Mamo, ten chłopczyk nazywa się Zygmunt i nie ma żadnej rodziny. Od paru dni mieszka na ulicy.

– Wiesławo! Bogumiło! Zuzanno! – przywołała siostry lekko strwożona sytuacją. – Patrzcie!

Wszystkie trzy kobiety zatrzymały się nagle i spojrzały po sobie. Przeczuwały, iż dobroduszna Hanna pragnie zatrzymać chłopczyka i dać mu rodzinę, lecz siódma osoba w domu to następne wydatki. Jednakże ten mały Zygmunt wyglądał tak niewinnie, że poruszył głęboko każdą z domowniczek, które widząc smutne oczka, nie miały serca odmówić dzieciaczkowi pomocy. W końcu będzie mógł pomagać w domowych obowiązkach, a te nigdy się nie kończą. Rozmyślały chwilę, komunikując się za pomocą spojrzeń, po czym Zofia odezwała się wreszcie:

– Czuj się jak w domu.

Była to niechybnie jedna z najważniejszych chwil, jakie miały miejsce w życiu domowników, więc dla upamiętnienia przybycia nowego członka zrobiono zdjęcie. Bardzo ładne zdjęcie. Po lewej i prawej stronie pną się drzewa z plamami brązu i czerwieni na liściach, w głębi stoi dom oraz inne zabudowania, przed którymi piętrzy się drewno, a na drodze pośrodku znajduje się cała rodzinka Młynarskich: cztery siostry, zakręcona Hanna, dowcipny Tomasz i mały Zygmunt z boku.

Bal przy Górnym Młynie

To, co chcę wam opowiedzieć, wydarzyło się, gdy w Bielawie, małym miasteczku na Dolnym Śląsku, jak co roku miał odbyć się bal, który organizowano, aby zbliżyć do siebie ludzi z różnych warstw społecznych. Długo zastanawiano się, w jakim miejscu go urządzić. Wybór padł na łąkę przy górnym młynie, która była oazą spokoju i pięknego zapachu pobliskiego lasu. Niestety, nowy burmistrz, który znany był nie tylko z niskiego wzrostu, ale także z niechęci do przebywania w towarzystwie ludzi o niższym poziomie życia, zaproponował, aby tylko osoby z wyższych sfer wzięły udział w zabawie. Na jednym ze spotkań Rady Miasta zaakceptowano pomysł burmistrza. Jedynym problemem pozostało powiadomienie o tej decyzji mniej zamożnych mieszkańców Bielawy. Jeden z pracowników urzędu dostał polecenie, aby wywiesić ogłoszenie np. na drzwiach kościoła czy baru. W przeddzień zabawy, kiedy burmistrz, będąc niedaleko młyna, pilnował, aby wszystko zostało idealnie przygotowane, nagle zauważył kilku biedniejszych mieszkańców miasta idących szybko w jego stronę. Westchnął i czekał na dalszy rozwój wydarzeń.

- To dyskryminacja! – wołali jeden przez drugiego
- Spokojnie, drodzy państwo – zaczął dyplomatycznie burmistrz, oddalając się od tłumu. – W czym jest problem?
- Co roku wszyscy mieszkańcy Bielawy mieli prawo bawić się na balu! Co teraz się zmieniło? – zawołała zirytowana starsza kobieta.
- Zostały wprowadzone pewne zmiany. Ich pomysł został przedyskutowany na Radzie Miasta, a wszyscy tutaj obecni wiedzą, że wolę większości muszą uszanować.
- Ale to nie jest sprawiedliwe! – krzyknął młodzieniec. – To, że jesteśmy biedni, nie znaczy, że gorsi!
- Bardzo mi przykro, lecz podjętej już decyzji zmienić nie mogę. Do zobaczenia za rok, tak myślę – odpowiedział burmistrz i odszedł.

zostawiając zszokowany tłum.

Następnego dnia, kiedy zabawa trwała w najlepsze, a burmistrz wypijał kolejnego drinka, jego żona odciągnęła go w trochę spokojniejsze miejsce.

– Niedaleko rzeki stoi tłum ludzi z biedniejszych rodzin. Proszą o pozwolenie na dołączenie do zabawy – powiedziała spokojnie.

– Nie ma mowy! – odpowiedział jej mąż. – Jest już wystarczająco dużo ludzi!

– Postaw się w ich sytuacji – przekonywała burmistrzowa. – To może być ich jedyna okazja do zabawy. Bądź człowiekiem!

– No dobrze – oznajmił po dłuższej chwili burmistrz. – Niech dołączą!

I tak oto wszyscy mieszkańcy Bielawy bawili się do białego rana. Mimo że cała historia zakończyła się szczęśliwie, następne wybory wygrał inny kandydat, który był burmistrzem wzorowym, a co najważniejsze – pochodził z biednej rodziny.

Nie zapomnę

Na skraju wrzosowiska zebrała się grupa ludzi. Wszyscy byli bardzo podekscytowani, a równocześnie przerażeni, znaleziono tam bowiem ciało młodego mężczyzny. Co mu się stało? Jak zginął? Te i inne pytania zadawali sobie zszokowani ludzie, nie wierząc w to, co się stało.

W małym miasteczku na Dolnym Śląsku, mieszkał pewien kupiec, który był właścicielem gospody „Pod Górnym Młynem”. Mężczyzna ten miał tylko dwie miłości: wspomnianą już gospodę i swoją ukochaną córkę, piękną siedemnastoletnią Steffie. Nie wiedział, że jego ukochane oczko w głowie ma pewien sekret... Steffie co noc wymykała się ze swojego domu na schadzkę z Edmundem. Ojciec nie pozwalał jej się z nim spotykać, ponieważ chłopak pochodził z ubogiej rodziny. Ale to nie jest historia miłosna o dwojgu szczęśliwych kochankach. Nie tym razem.

Steffie codziennie czekała, aż księżyc schowa się za chmurami i dopiero wtedy wychodziła z cienia drzewa. Spotykali się na starym wrzosowisku, pełnym kamieni i cierni. No cóż... Lepszego miejsca znaleźć nie mogli. Śmiali się, rozmawiali, całowali. Wydawało się, że nic i nikt nie jest w stanie zburzyć ich szczęścia. Do czasu...

Pewnego dnia, gdy dziewczyna jak zwykle wróciła do domu po wieczorze spędzonym w towarzystwie Edmunda, zobaczyła, że w gabinecie ojca pali się światło. Zdziwiła się, że jeszcze nie śpi. Wtedy usłyszała jak ojciec chodzi po pokoju i mówi do siebie:

– On musi zniknąć... Musi... Steffie o niczym się nie dowie. To będzie nieszczęśliwy wypadek... Nikt niczego się nie domyśli... Nikt...

Dziewczyna, gdy tylko to usłyszała, wypadła z domu jak szalona.

Biegła na oslep. Nie zwracała uwagi na gałęzie, które raniły jej ciało, i na ciernie szarpiące jej ubranie. Wpadła na miejsce, gdzie jeszcze niedawno spędziła takie cudowne chwile. Teraz była przerażona. Edmund usłyszał czyjeś kroki. Na widok Steffie twarz mu pojaśniała.

– Steffie, kochanie, co tu robisz? Już dawno powinnaś być w domu. Co się stało? Dlaczego jesteś taka wystraszona?

– Musisz uciekać, Edmundzie. On się dowiedział... Nie wiem jak, ale się dowiedział... Powiedział, że cię zabije, że to będzie nieszczęśliwy wypadek... – zdyszana dziewczyna urywanymi zdaniami opowiedziała ukochanemu, co się stało.

– Kto? Kto mnie zabije? Steffie uspokój się, proszę.

– Mój ojciec. On chce cię zabić. Musisz uciekać. Teraz, zaraz, natychmiast!

– Nigdzie nie pójde, nie zostawię cię z tym szaleńcem. Steffie, posłuchaj...

– Nie, to ty mnie posłuchaj. Mój ojciec postradał zmysły. Uciekaj, już! Nie możesz tu zostać! – zaczęła okładać go pięściami i szarpać.

Edmund trzymał ją mocno, ale to nie pomagało. Dziewczyna opętana strachem była silniejsza od niego. Zaczęła płakać, nie przestając bić go w pierś.

– Uciekaj! Błagam! – szlochała.

W pewnym momencie z wściekłością pchnęła Edmunda, który niczego się nie spodziewał. Chłopak upadł, uderzył głową o kamień i znieruchomiał. To wszystko wydarzyło się tak szybko, że Steffie przez pewien czas nie wiedziała, co się stało. To było jak zły sen. Najpierw ją przytulał, a ona okładała go pięściami, a chwilę później leżał już martwy u jej stóp, z krwią sączącą się ze skroni. Steffie padła na kolana, żeby ratować ukochanego, ale było już za późno. Edmund nie żył...

Dziewczyna zerwała się na równe nogi i uciekła do domu. Cicho wślizgnęła się do środka. „Tata chyba śpi” – pomyślała. Pośpiesznie napisała list, w którym wyjaśniła, że rzuciła się z urwiska, bo nie mogła znieść ciągłego trzymania jej pod kloszem przez ojca i tego, że zabrania jej spotykać się z Edmundem. „Nie chcę już dłużej żyć, zresztą to nie jest życie” – kolejne słowa zapępniały kartki mokre od łez dziewczyny, która po prostu chciała żyć długo i szczęśliwie...

Steffie ostatni raz rzuciła spojrzenie na swój pokój, po czym zniknęła w ciemnościach nocy.

Gdy dotarła nad urwisko, świtało. Kiedy już prawie miała rzucić się w otchłań, złapał ją w pasie miejscowy zakonnik, brat Gustaw, uwielbiający poranne spacerki.

– Ciii, nie płacz. Nie chcę wiedzieć, dlaczego chciałaś to zrobić, ale ci na to nie pozwolę. Nikt nie może sam sobie odbierać życia. Tylko Bóg ma prawo nam je zabrać. Masz dokąd pójść?

Dziewczyna zastanowiła się, po czym pokręciła głową. „Nie chcę tam wracać, wszystko będzie mi go przypominać”.

– Nie, nie mam dokąd pójść – powiedziała i zaczęła łkać.

– Zabiorę cię do mojego zakonu. Nikt cię tam nie znajdzie. Wyciszysz się, uspokoisz, odnajdziesz w sobie Boga. On jest ci teraz bardzo potrzebny – powiedział.

Steffie tylko pokiwała głową, policzki miała mokre od łez.

W zaciszu pięknego ogrodu dziewczyna podniosła oczy ku niebu i spytała: „Dlaczego? Dlaczego to właśnie ja straciłam mężczyznę, którego kochałam najbardziej na świecie?”

Podszedł do niej brat Gustaw i położył jej rękę na głowie.

– Nie martw się, dziecińko. Wszystko będzie dobrze. Mam nadzieję, że kiedyś powiesz mi, co skłoniło cię do tego, żeby targnąć się na swoje życie. A na razie módl się i szukaj ukojenia. To ci pomoże.

Steffie pokiwała głową. Po jej policzku spłynęła pojedyncza łza. „Nie zapomnę cię, najdroższy”. Brat Gustaw odszedł.

Ludzie stojący na skraju wrzosowiska długo jeszcze dyskutowali na temat tajemniczej śmierci Edmunda. Czy to był nieszczęśliwy wypadek? A może ktoś go zamordował? Prawdopodobnie nigdy nie dostali odpowiedzi na te pytania. Na drugi dzień pochowano ciało chłopaka na pobliskim cmentarzu.

Gdy ojciec Steffie odnalazł rano list córki, wpadł w rozpacz. Ostatni raz mieszkańcy Bielawy widzieli go podążającego w stronę gór. Potem wszelki słuch o nim zaginął...

Historia starego młyna

Pod koniec XIX w. w leżącej u podnóża Gór Sowich małej miejscowości Bielawa stał stary i opustoszały młyn. Miejscowi szeptali między sobą, że budynek jest nawiedzony, a tunele wychodzące z jego piwnic rozciągają się pod całymi Sudetami i kryją komnaty pełne skarbów. Do tej pory nikomu nie udało się tego jednak dowieść, ponieważ nikt nie miał na tyle odwagi, żeby przekroczyć próg tej straszliwej budowli. Budynek stał od wieków pozamykany na sześć spustów i odstraszał samym wyglądem.

Pewnego deszczowego i niezwykle chłodnego jak na czerwiec poranka do domu, który bezpośrednio sąsiedował z młynem, wprowadzili się nowi lokatorzy. Było to młode małżeństwo z trzynastoletnim synem, Victorem, i psem. Chłopiec, jak większość dzieci w tym wieku, chodził do pierwszej klasy gimnazjum. Był bardzo młody i ciekawy wszystkiego, co go otaczało i co się wokół niego działo. Najbardziej oczywiście interesowało go to, co jest surowo zabronione. Największą, a raczej najwierniejszą, przyjaciółką Victora była Poziomka. Poziomka to piesek, a dokładniej suczka rasy mops. Mała, koloru beżowego, z czarnym płaskim pyszczkiem, grubiutka i niezbyt groźna. Nigdy nie odstępowała swego pana nawet na krok i podążała za nim jak cień. Rodzice chłopca zajęci byli pracą i urządzeniem swojego nowego domu.

Nawet nie zauważyli, że ich syn bardzo zainteresował się starym budynkiem stojącym tuż obok ich domu. Młodzian kręcił się wokół opustoszałej i tajemniczej budowli, podpytując mieszkańców, co to za budynek i dlaczego jest zamknięty. Wszyscy powtarzali mu historię o tym, że budynek jest nawiedzony, i opowiadali o tunelach i o skarbach tam ukrytych. To jeszcze bardziej wzbudziło ciekawość żądnego przygód młodego człowieka.

Pewnego popołudnia Victor, wracając ze szkoły (oczywiście w to-

warzystwie Poziomki, która czekała na niego przy moście), zauważył, że jedno z okien nawiedzonego młyna jest uchylone. Znajdowało się ono tuż nad ziemią, na parterze od strony bukowego lasu. Chłopiec bez wahania ruszył w jego kierunku, ponieważ stwierdził, że takiej okazji nie może przegapić! Podszedł do okna, zostawił plecak ze szkoły na trawie i kazał go pilnować Poziomce, która spojrzała na niego ze zdziwieniem i charakterystycznie przekrzywiła głowę na bok. Sam szybko wdrapał się po wystających kamieniach w murze i wskoczył do środka przez uchylone okno.

Znalazł się w dużym pomieszczeniu z bardzo zakurzoną drewnianą podłogą. Rozejrzał się dookoła i ku swemu zdziwieniu zobaczył, że poza kilkoma pustymi workami od zboża i wielką zardzewiałą maszyną młyńską nic ciekawego się tam nie znajdowało. Dobrze, że na jednej ze ścian zauważył duże drewniane drzwi z metalowymi okuciami. Już po chwili młodzian całym ciałem wisiał na ogromnej stalowej klamce i z okropnym chrypliwym trzaskiem otworzył te drzwi.

Za nimi zobaczył kolejne pomieszczenie z drewnianą podłogą, pokrytą grubą warstwą kurzu. Jednak nie to zainteresowało młodego odkrywcę, a bardzo stary i przerażający właz znajdujący się na środku podłogi... i to otwarty!!! Co więcej, na podłodze był ślad, który wyglądał, jakby ktoś coś ciężkiego po niej ciągnął i wrzucił do tej dziury. Victor podszedł ostrożnie do czarnej otchłani i spojrzał w dół. Zobaczył tylko schody i przerażającą ciemność.

Długo nie czekając, stąpnął na pierwszy schodek, a potem to już poszło. Chłopiec naliczył sześćdziesiąt sześć stopni. Gdy znalazł się już na dole, usłyszał szum płynącej wody. Gdy się dobrze przyjrzał, ujrzał przed sobą skalny tunel – wzdłuż jednej z jego ścian płynął wąski strumyk. Młody wędrowiec ruszył przed siebie z nurtem strumienia. Było dość ciemno, ale widział na tyle, że swobodnie mógł podążać dalej.

Maszerował dość długo, aż stracił rachubę czasu. Wydawało mu się, że idzie już kilka godzin, bo monotony widok skalnego korytara znudził mu się już okrutnie. Nagle zobaczył w tunelu światło. Nie było zbyt jasne, ale zdecydowanie rozjaśniło mrok panujący dookoła. Z każdym krokiem robiło się coraz jaśniej, aż w końcu mały wędro-

wiec dotarł do ogromnej komnaty po brzegi wypelnionej skarbami. Nie wierzył własnym oczom!!! Dookoła niego dosłownie przelewało się złoto i różnego rodzaju skarby. Kufry poustawiane były obok siebie i to jeden na drugim. Na ziemi i pod ścianami leżały całe stopy zbroi, mieczy, kuszy i innego oręża z zamierzchłych czasów.

Chłopiec podniósł ze stojaka jeden z mieczy i zaczął nim sprawnie wywijać. Za chwilę zdjął ze ściany ogromną kuszę i mierzył z niej, udając, że strzela. Przymierzał przyłbice, złożone kolczugi i wszystko, na co miał ochotę. Czuł się jak w sklepie z najlepszymi zabawkami, aż... coś nagle przerwało jego beztroską radość.

Dziwny cień przemknął pomiędzy kufkami stojącymi pod ścianą. Victor stanął jak wryty i wpatrywał się w przestrzeń, która przed chwilą wydawała się poruszać. Nagle zza skrzyń ukazała się wysoka, przygarbiona postać Liczyrzepy, czyli strażnika „Kryształowej komnaty”, w której chłopiec właśnie się znajdował. Strażnik był wysokim i dość mocno zbudowanym monstrem. Skórę miał ciemnozieloną, miejscami porośniętą mchem. Uszy jego były długie, szpiczaste i odstające od głowy, zęby stożkowe i wszystkie podobnej długości, oczy duże, przekrwione i wytrzeszczone w kierunku młodzieńca. Ręce miał długie, zakończone ogromnymi dłońmi uzbrojonymi w długie, czarne pazury. Odziany był w stary, bardzo brudny i zniszczony kubrak. Wyprostował się i powiedział głębokim, jak echo ze studni głosem: „Czego tu szukasz? Nikt, kto tu wszedł, nie może już więcej ujrzeć światła dziennego. Jestem strażnikiem tej komnaty i... musisz zginąć!”

To powiedziawszy, powolnym krokiem ruszył w kierunku chłopca. Victorowi krew ścięła się w żyłach i stał jak wryty, gdy potwór zbliżał się do niego. Sytuacja zrobiła się beznadziejna. Młodzieńcowi w jednej chwili całe życie przeleciało przed oczami. Bestia była coraz bliżej i już wyciągnęła swe straszliwe łapska w kierunku chłopca... Aż tu nagle z ciemnego tunelu rozległo się znajome szczekanie. To Poziomka!!! Ruszyła swemu panu z odsieczą. Pędziła z impetem kuli armatniej. Niczym grom z jasnego nieba gnała wprost na bestię. Tylko jej śnieżnobiałe kły połyskiwały co chwilę. Strażnik nie wiadomo dlaczego oniemiał i stanął jak wryty na widok szarżującego mopsa! Zaczął się nawet cofać, ale... Poziomka w tym momencie wybiła się

z tylnych łap i z prędkością lecącej strzały rzuciła się na potwora. Swoją dosyć pokaźną masą przewróciła go na stojaki z bronią. Los chciał, że akurat jedna włócznia oparta była grotem do góry i Liczyrzepa całym ciężarem swojego ciała, zwiększonym jeszcze o masę Poziomki, nadział się na tę włócznię. Wydał z siebie przeraźliwy jęk i skonał, a ciało jego rozplynęło się w powietrzu i zniknęło na wieki.

Victor podbiegł do małej bohaterki i przytulił ją najmocniej na świecie, dziękując za ocalenie przed niechybną śmiercią. Poziomka wyprowadziła chłopca z tunelu i wrócili do domu, gdzie Victor opowiedział rodzicom całą historię.

Skarby Liczyrzepy rozdano pomiędzy mieszkańców Bielawy, a stary młyn został wyremontowany i stoi na swoim miejscu do dnia dzisiejszego. Po Bielawie i okolicach do dziś krążą legendy o Victorze i dzielnej Poziomce. W okolicach domu, gdzie niegdyś mieszkał chłopiec, często można spotkać przyjezdnych i miejscowych gapiów, którzy z dumą wskazują stary młyn, opowiadając tę jakże niezwykłą historię.

Tylko nieliczni wiedzą, że to Poziomka do połowy XX w. była herbem Bielawy. Z czasem mało wprawni rzeźbiarze i miejscowi artyści bardziej upodobnili ją do sowy, która niewiele ma wspólnego z historią tego miasta.

Historia Helgi i Jana

Historia, którą opowiem, wydarzyła się na początku ubiegłego wieku w małej miejscowości u podnóża Gór Sowich. Malownicze miasteczko zamieszkiwała ludność niemiecka i polska, żyjąca niby razem, a jednak oddzielnie. Okolica była przepiękna, zadbana i dobrze zagospodarowana. Istniały tu sklepy, bary, młyn wodny, tartak i fabryka tekstylna, a rozproszone po okolicznych wzgórzach budynki były murowane.

Atrakcją miasteczka był młyn położony nad bystrym górskim strumieniem. Wysoki murowany budynek z czerwonym dachem, o pobielanych ścianach górował nad okolicą, przyciągając uwagę, a szum pracującej turbiny wodnej powodował, że ludność często się zatrzymywała i wsłuchiwała w pracę maszyny.

Ruch zarówno w młynie, jak i w jego okolicy był duży. Zjeżdżały tu furmanki ze zbożem z całej okolicy. Oczekując na mąkę, woźnice rozprawiali z młynarzem i mieszkańcami. Właścicielem młyna był małomówny i często zamyślony Lukas Schmidt, mężczyzna w wieku pięćdziesięciu lat, postawny i można by rzec – przystojny. Sprawiał wrażenie ponuraka, jednak ludzie cenili go jako dobrego fachowca i mądrego człowieka, który chętnie służył radą i pomocą mieszkańcom miasteczka. Wszyscy wiedzieli, że Lukas bardzo ciężko przeżył śmierć żony, a całe swoje życie poświęcił córce - jedynaczce, Heldze, którą kochał nad życie.

Helga, osiemnastoletnia dziewczyna, dzielnie pomagała ojcu w młynie, ale też ciężko pracowała w domu. Była piękną i pracowitą dziedziczką młyna. Lukas bardzo ubolewał, że nie ma jeszcze syna, któremu przekazałby dobrze prosperujący młyn, zaczął więc rozglądać się za odpowiednim kandydatem na męża dla córki. Wybór padł na syna właściciela tartaku. Był to młodzieniec piękny, jednak zbyt duży hulaka i wcale nie podobał się Heldze. Ona sama wypatrzyła w tartaku chłopaka o imieniu Jan. Był on pracowitym, uśmiechnię-

tym i chętnym do pomocy Polakiem. Helga często widywała go przy pracy. Sama też stwarzała okazje, aby być w jego pobliżu. Jan również zwrócił uwagę na piękną córkę młynarza. Wiedział jednak, że ich znajomość, a później być może związek, nie ma przyszłości, bo ojciec Helgi nie darzył sympatią Polaków. Jan był tylko biednym, prostym pracownikiem i znał zaledwie pojedyncze niemieckie zwroty, trudno więc mu było porozumieć się zarówno z Helgą, jak i jej ojcem.

Młodzi jednak coraz częściej się widywali i zaczęło się rodzić między nimi uczucie. Helga pilnie uczyła się języka polskiego, jeszcze więcej pomagała ojcu i ciągle opowiadała mu o Janie. Chłopak również prosił ją o pomoc w nauce języka, często wyręczał ją w cięższych pracach. Para, wierząc w miłość i mając nadzieję, że kiedyś będzie razem, pokochała się bardzo. Ojciec jednak nadal był przeciwny tej znajomości – chciał szczęścia córki, ale nie z Polakiem.

Pewnego czerwcowego dnia w młynie wydarzył się wypadek – konserwując turbinę, młynarz spadł z wysokości. Długo był nieprzytomny, a kiedy odzyskał świadomość, okazało się, że już nigdy nie będzie chodził. Przerząła go myśl, że nie będzie mógł pracować, ale jeszcze bardziej to, iż będzie ciężarem dla córki.

Wtedy Helga poprosiła o pomoc Jana. Rzucił pracę w tartaku i ochoczo zabrał się do zajęć w młynie, a przed kolejnym sezonem było ich dużo. Zabiegi konserwacyjne i porządkowe pochłaniały wiele czasu, jednak Jan znajdował jeszcze chwile, aby pomóc Heldze w opiece nad ojcem. Często zabierał go do młyna.

Lukas na własne oczy widział, jak wiele chłopak zrobił w jego gospodarstwie i jak szczęśliwa jest córka. Wreszcie zgodził się na ślub młodych.

Życie zaczęło się toczyć spokojnie i szczęśliwie. Młynarz dożył starości i doczekał się wnuka i wnuczki równie pięknej, jak jego córka. Jan i Helga byli szczęśliwym małżeństwem. Często wracali wspomnieniami do ciężkich, początkowych lat znajomości, stwierdzając, że miłość wszystko zwycięży, a nadzieja potrafi przenosić góry. Z czułością patrzyli na siebie i na swój młyn (który najpiękniejszy był w jesieni, wśród wielobarwnych drzew) i na ludzi, którzy ze swoimi zbiorami przyjeżdżali do młyna. To cała historia Jana i Helgi.

Przeżyłem ogromne wzruszenie i zaskoczenie, kiedy zobaczyłem

zdjęcie „Pod Górnym Młynem”, bo przecież był na nim młyn Jana i Helgi – tak go sobie wyobrażałem, opowiadając ich historię.

Pod Górnym Młynem

Mam na imię Amelia i jestem piętnastoletnią dziewczyną. Pomimo młodego wieku zostałam już doświadczona przez życie i moim priorytetem nie są piękne suknie czy książę na białym koniu. O wiele ważniejsze jest dla mnie zdrowie dziadków, o których trochę wam opowiem.

Miałam dokładnie pięć lat, kiedy zginęli moi rodzice. Prawie ich nie pamiętam. W głowie utkwiły mi zaledwie urywki wspólnych chwil. Od tamtej pory wychowywana jestem przez dziadków. Są mi bliżsi niż ktokolwiek. Traktuję ich jak rodziców, których niestety już nie mam, i chociaż czasami zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdyby mama i tata żyli, to i tak jestem wdzięczna Bogu, że oddał mnie pod opiekę tak wspaniałym ludziom, jakimi są moi dziadkowie.

Nasze życie nie jest usłane różami. Nie mamy zbyt wiele pieniędzy – praca we młynie nie przynosi nam ogromnych dochodów. Zdarza się, że brakuje na chleb, nie mówiąc o innych niezbędnych przedmiotach. Mieszkamy w małym domku na polanie, na całkowitym odludziu – tylko ja, babcia i dziadek. Żyjemy w miłości i spokoju. Rzadko się kłócimy – jak już, to o sprawy domowe – kto dziś sprząta w kurniku czy czyści piec. Lubię takie życie.

Nie mam zbyt wielu przyjaciół. Jediną osobą, która w ogóle chce ze mną rozmawiać, jest dwudziestoletnia Ola – pracownica młyna. W przerwach w mieleniu lubimy posiedzieć sobie przy młyńskim kole i porozmawiać na przeróżne tematy, rozkoszując się zapachem zmielonego zboża.

A co do spraw miłosnych... Niedawno zerwał ze mną Mateusz – chłopak, z którym byłam ponad trzy lata. Stwierdził, że nasz związek nie ma przyszłości. Pewnie nadal boi się mojego dziadka, który – gdy zobaczył go po raz pierwszy – ścigał go z siekierą w ręce, strasząc, że

jeśli mnie zrani, marny będzie jego los.

Na całe szczęście została mi jeszcze babcia, której oczywiście wszystko dokładnie i ze szczegółami opowiedziałam. Stwierdziła, że chłopak po prostu nie jest wystarczająco dojrzały dla mnie i powinnam się cieszyć, że już nie muszę męczyć się z tym „dzieciakiem”.

Wracając do pracy we młynie – nie jest ona najciekawszym zajęciem dla piętnastolatki.

Całe dni mielenia chętnie zastąpiłabym śpiewem lub tańcem. Babcia opowiadała mi kiedyś, że mama była wielką artystką. Kiedy śpiewała, wszystkie ptaki podfrwały bliżej, towarzysząc jej, a gdy tańczyła, deszcz przestawał padać i spod chmur wychodziło słońce, wyczarowując przepiękną tęczę. Dziadek twierdzi, że mam to właśnie po mamie.

Swojej przyszłości oczywiście z młynem nie wiążę. Chciałabym – naturalnie razem z dziadkami – wyjechać w świat i poznać inne kultury, ludzi, „wybić się” i zostać sławną. Jednak są to tylko marzenia. Ale jak to mówią – za marzenia się nie karze, więc czemu nie mam marzyć?

Uwielbiam słuchać opowieści o moich rodzicach. Bardzo za nimi tęsknię. Ostatnio dowiedziałam się, że tata był żołnierzem i nie raz walczył o honor naszej ojczyzny. Miał wspaniały mundur i karabin, który teraz stoi i kurzy się na strychu. Mama natomiast – jak już wcześniej wspominałam – związana była ze sztuką. Była ogromnie utalentowana pod względem plastycznym i muzycznym. Pamiętam jak przez mgłę, że śpiewała mi kołysanki na dobranoc i malowała ze mną obrazy, które potem sprzedawała. Potrafiła dobrać kolory niczym profesjonalna malarka, a zwierzęta czy też kwiaty, które malowała, wyglądały jak żywe.

Mogłabym tak opowiadać i opowiadać, jednak nie chcę was nudzić. Mam tylko jedną prośbę – doceniajcie to, co macie, bo niektórzy nie mają nawet tego. Cieszcie się życiem i nie przejmujcie się błahostkami. Życie jest krótkie, dlatego starajcie się wykorzystać je w stu procentach.

Amelia

Tajemnicze zniknięcie

Okoliczne wzgórza, jak widać na zdjęciu, porośłe były zaroślami i gęstym lasem. Wysokie dęby, buki, sosny i świerki szumiały historię o młynarzu, który w tamtym czasie razem z rodziną mieszkał w Bielawie.

Młynarz cieszył się powszechnym szacunkiem, a jego wodny młyn służył mieszkańcom i dodawał uroku malowniczemu krajobrazowi okolicy. Kręcące się drewniane koło i plusk wody stwarzały swojski klimat i były oznaką, że młyn pracuje.

Gdy tylko namielono mąki, żona młynarza zabierała się do pieczenia chleba, a ludzie go kupowali. Rolnicy też chętnie wymieniali zboże na mąkę. Tak mijały zimy, wiosny i lata.

Aż zdarzyło się pewnej niedzieli, że choć dzwony kościelne wołały na nabożeństwo, młynarz z rodziną nie podążył w stronę kościoła. Zaskoczona tym faktem widoczna na zdjęciu grupa bielawian, która właśnie w odświętnych strojach szła na nabożeństwo, przystanęła na drodze i postanowiła poczekać na rodzinę z młyna.

Tymczasem tylko pomocnik młynarza przybiegł do nich przerażony. Łamiącym się głosem opowiadał o ogromnym srebrnym ptaku, który sfrunął z nieba, zabrał młynarza i jego rodzinę, po czym odleciał.

Kiwano smutnie głowami, pukano się znacząco w czoło, ale ostatecznie nikt nie wiedział, co stało się z młynarzem i jego bliskimi.

Przypuszczalnie chodziło o samolot, ale pamiętajmy, że był to początek XX wieku i samolot dla większości był jeszcze abstrakcją. A może po prostu to spodek UFO uprowadził fachowca albo inna obca cywilizacja. Tego nigdy nie wyjaśniono.

Tak czy inaczej – zniknięcie młynarza było przyczyną, że ustała praca Górnego Młyna, a ile głębokiego smutku i lamentu wzbudziło to w mieszkańcach, lepiej nie mówić.

Największy skarb życia

Pewnego pięknego słonecznego dnia grupa znajomych bielawian wybrała się do lasu na grzyby. Szli w stronę Leśnego Dworku. Długo spacerowali. Uzbierali pełne kosze borowików, podgrzybków i kurek. Jedna z kobiet tłumaczyła swojemu synowi, Stasiowi, które grzyby można zbierać, a których absolutnie nie. Chłopiec był bardzo bystry i zawsze słuchał swoich rodziców. Teraz opiekunowie często mu powtarzali, żeby się od nich nie oddalał.

W drodze powrotnej bielawianie postanowili wstąpić do budynku wodnego młyna zbożowego, żeby kupić mąkę.

Kiedy byli już w pobliżu, nagle rodzice Stasia zorientowali się, że ich syn zniknął. Wszystkich ogarnął strach i panika, bo przecież w pobliżu była rzeka. Mama dziecka była roztrzęsiona, mąż próbował ją uspokoić. Znajomi ustalili, że rozdzielią się na grupy i rozpoczną poszukiwania chłopca. Po godzinie mieli się zebrać w tym samym miejscu, w którym się rozstali. Niestety, cała akcja okazała się bezskuteczna. Rodzice byli bezsilni, myśleli już o najgorszym.

Mężczyzna, którego nazywali Janek, wpadł na pomysł, że dzieciak mógł wejść do budynku młyna, bo przecież wcześniej przez cały czas był przy nich. Znajomi jak najszybciej pobieli do środka. Kobiety pytały pracowników, czy nie widzieli Stasia, natomiast mężczyźni szukali go po całym budynku. Nagle kobiety usłyszały głośny śmiech, dochodzący z góry. Wszyscy obecni byli zdezorientowani i czym prędzej udali się na piętro.

Stali tam wszyscy mężczyźni, a pośrodku znajdowało się ogromne naczynie ze zmieloną mąką, z którego coś wystawało... Okazało się, że to głowa małego chłopca, która była cała biała od mąki! Matka natychmiast podbiegła do synka. Pracownicy młyna pomogli małuchowi wydostać się z wnętrza naczynia. Wszystkim udzielił się radosny nastrój. Niektórzy żartowali i mówili, że Stasio jakoś

tak zbladł, a inni nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Chłopiec wyglądał naprawdę komicznie, ale jemu również udzieliła się ta atmosfera i zaczął się uśmiechać, chociaż początkowo był przerażony całą sytuacją.

Rodzina znowu była w komplecie. Rodzice płakali ze szczęścia, cieszyli się, że ich kochane dziecko jest całe i zdrowe. Podziękowali panu Jankowi, a pracownikom młyna podarowali pyszne grzyby, które wcześniej uzbierali. Młynarze stwierdzili, że nie zrobili nic nadzwyczajnego i odwdzięczyli się, dając mąkę.

Wyglądało na to, że wszyscy byli zadowoleni, jednak Stasio stał ze smutną miną. Kiedy tata zapytał go, co się dzieje, usłyszał tylko krótkie, ciche i smutne „przepraszam”. Ojciec wytłumaczył synowi, że nie musi ich przeproszać, ponieważ co by nie zrobił i tak zawsze będzie największym skarbem, jaki posiadają w swoim życiu. Chłopiec podszedł do rodziców i nic już nie mówiąc, mocno się do nich przytulił. Znajomi byli tą chwilą wzruszeni.

Nie ma na świecie piękniejszej więzi niż ta, która łączy dziecko i jego rodziców.

Spotkanie pod Górnym Młynem

Adam był uczniem czwartej klasy szkoły publicznej. Od lat przyjaźnił się z Michałem, z którym po lekcjach spędzał wiele czasu w parku. Razem zbierali kasztany i żołądźcie, z których wykonywali śmieszne postacie, lubili też w ciepłe dni biegać za piłką.

Na początku tego roku szkolnego w klasie pojawiła się nowa uczennica. Miała jasne kręcone włosy, niebieskie oczy i wykrochmalony fartuszek z falbankami. Na lekcji śpiewu zachwyciła wszystkich swoim dźwięcznym, mocnym głosem.

Od tego momentu Adam postanowił zwrócić na siebie jej uwagę. Niestety, Michał był sprytniejszy i już na drugi dzień położył na jej ławce korale z jarzębiny. Na następnej przerwie Adam zobaczył ich siedzących na ławce i opowiadających sobie śmieszne historie. Hanka śmiała się głośno, a Michał całkiem zapomniał o przyjacielu.

Adam czuł się zdradzony przez najlepszego kolegę i coraz bardziej zazdrosny o uczucia Hani. Na dodatek dzisiaj wracał do domu sam, bo Michał był zajęty Hanią. Wściekły ukrył się za krzakiem bzu i gdy Michał się zbliżył, podstawił mu nogę i rzucił się na niego z pięściami. Zaskoczony Michał nawet się nie bronił, ale z domu wyszła mama Adama i rozdzieliła chłopców.

Adam długo musiał się tłumaczyć z bijatyki i trudno mu było mamę ułagodzić. W końcu przyznał się do zazdrości o Hanię.

Skończyło się tym, że Adam przez tydzień nosił i układał narąbane przez tatę drzewo.

W szkole czuł się nie najlepiej, wstyd mu było przed Michałem i Hanią.

Na ratunek przyszła mama, która zaproponowała, że upiecze rogaliki i zaprosi na podwieczorek Michała i Hanię. Chłopak musiał sam pójść po mąkę do Górnego Młyna.

W pobliżu młyna czekała go niespodzianka – w grupie kobiet

stojących na ulicy przed młynem zobaczył przyjaciela. Zawstydzony Adam podszedł i przeprosił Michała za swoje wybryki. W tym momencie usłyszał głos mężczyzny:

– Proszę, nie ruszajcie się.

To pan Henryk, słynny fotograf, ustawił się na drodze ze swoim aparatem.

W ten sposób uwiecznione zostało pojednanie skłóconych przyjaciół. Następnego dnia po południu siedzieli w trójkę, zajadając pyszne rogaliki.

Zdjęcie pana Henryka cieszyło się wielką popularnością, a mama umieściła je na honorowym miejscu w albumie rodzinnym.

Poranek

Był ciepły jesienny poranek. Koguty piały, a ptaszki ćwierkały. Nagle do domu Jasieńka zapukał jego przyjaciel.

- Cześć, Jasieńku, wychodź na dwór!
- Już idę! – wykrzyczał Jasio, po czym wybiegł z uśmiechem.
- Idziemy po Marysię i Zbyszka? – zapytał Staszko.
- No pewnie, po co się pytasz?

Nagle ziemia zaczęła się trząść, a w oddali było słychać dźwięk obijającego się o siebie metalu oraz męskie głosy. Na horyzoncie ukazał się rycerz z wrogiego królestwa.

– Dzieciaczki, szybko! Schowajcie się w domu! – krzyknął ojciec Jasieńka.

W oczach wieśniaków było widać strach. Widok wrogich wojsk nie mógł wróżyć niczego dobrego. Chłopi chwycili za przedmioty mogące służyć jako broń i ustawili się naprzeciwko wroga. Mimo tego, iż wiedzieli, że nie mają szans, nie mogli się wycofać, wiedzieli bowiem o sposobie rządzenia i o brutalności ich przeciwnika. Na przód wyjechał dowódca najeźdźców.

– Jam jest Xeran, nowy władca tej ziemi. Poddajcie się albo zginiecie. WSZYSCY! – krzyknął bogato ubrany władca.

– Nigdy! – odpowiedział sołtys.

– Jak śmiecie, nędzne robaki, stawiać się mnie, Wielkiemu Xerano-wi! Do ataku! – krzyknął zdenerwowany Xeran.

Rycerze ruszyli z szarżą na chłopów. Sielanka zamieniła się w rzeź. Pola i drogi pokryło morze krwi. Chłopi padali jeden za drugim. Kiedy Xeran czcił już swoje zwycięstwo, spostrzegł, że kilku jego ludzi padło na ziemię. Jego oczom ukazał się potężnie zbudowany mężczyzna w podartej białej koszuli i brązowych skórzanych spodniach. Dzierżył on w rękach wielki, ciężki miecz, a wkoło lewej ręki miał oplątany łańcuch. Xeran z przerażeniem wydał rozkaz zaatakowania

tajemniczego mężczyzny, ten jednak przedzierał się w jego stronę bez większych problemów. Zanim zdążył zapytać wojownika, kim jest, głowa władcy już leżała na ziemi.

Nikt nie wierzył w to, co miało miejsce przed sekundą. Rycerze widząc ogrom siły ich przeciwnika, postanowili się wycofać. Kobiety i dzieci były w szoku. Z jednej strony wszyscy cieszyli się, że będą żyć, a z drugiej ogarnęła ich rozpacz po śmierci bliskich.

Jasieńko zaczął rozglądać się za wojownikiem. Spostrzegł go, kiedy chował on głowę Xerana do torby.

– Panie wojowniku! – krzyknął Jasio, biegnąc w stronę mężczyzny.

– Kim pan jest? – zapytał z chłopczyk z ciekawości.

– Ja? Nazywam się Grent i jestem łowcą potworów, ale nie takich, jakie są w bajkach. Wolę takie potwory jak Xeran – ludzi przesiąkniętych złem. Zapamiętaj, chłopczyku: bądź grzeczny i pomagaj innym, gdy są w potrzebie, bo przyjdzie pan z wielkim mieczem i cię zabierze – powiedział Grent, po czym odwrócił się i poszedł.

Pewnego razu, kiedy w malowniczo położonej u podnóża Gór Sowich miejscowości Bielawa nastał świt, w Leśnym Dworku zapanało wielkie poruszenie, ogłoszono bowiem, że tylko i wyłącznie dzisiaj w młynie można będzie kupić mąkę o dwadzieścia pięć procent taniej. Raz do roku właściciel młyna robił zniżkę ceny na mąkę, więc trzeba było korzystać. Ludzie byli biedni, każdą okazję wykorzystywali najlepiej jak potrafili.

W ten piękny poranek wstał także pewien młodzieniec. Był on zgryźliwym, sarkastycznym, złośliwym, aroganckim i pewnym siebie chłopakiem. Miał zaledwie piętnaście lat i wywodził się z najbogatszej rodziny w tym mieście – był synem właściciela tkalni. Dlatego niechętnie pomagał innym i cały czas zadzierał nosa. W tym dniu jednak w jego życiu miały zajść pewne zmiany.

Wstając z łóżka, leniwie przetarł oczy i już wiedział, że to będzie okropny dzień... Dla innych, oczywiście. Podszedł do mahoniowej rzeźbionej ręcznie komody i wyciągnął z niej swoje najlepsze ubranie. Wychodząc z domu, spojrzął jeszcze przelotnie w lustro, zachwycając się swym urokiem. Niechętnie rozstał się ze swoim odbiciem i po chwili poczuł na swojej gładkiej twarzy mroźne, aczkolwiek orzeźwiające powietrze. Tak jak reszta ludności zaczął kierować się w górę drogi prowadzącej do młyna.

Jakaś starsza kobieta szła za nim, spoglądając raz po raz w niebieską przestrzeń nieba. Rozmyślała o swoim zmarłym niedawno synu. Niestety, nie zwróciła uwagi, że młodzieniec nagle zwolnił kroku. Wpadła na niego i swoim starym chodakiem rozerwała mu dół nogawki od spodni. Chłopak w zadziwiająco szybkim tempie obrócił się w stronę staruszki. W jego oczach widać było tylko wściekłość i nienawiść. Oczy płonęły mu ze złości.

– KOBIEITO! PATRZ, COŚ ZROBIŁA! TO BYŁY MOJE ULUBIONE SPODNIE!! Ślepa prostytutka – pomyślał sobie.

– Prze... prze... przepraszam pana najmocniej. Zamyśliłam się,

a pan nagle zwolnił... i stało się. Wcale tego nie chciałam. Proszę mi wybaczyć. Bardzo proszę...

– Będziesz musiała mi za nie zapłacić. Wieczorem prześlę ci przez mojego lokaja rachunek – uciął krótko, patrząc na nią miazdzącym wzrokiem.

Kobieta pochodziła z biednego domostwa, więc popłakała się, ciicho ocierając łzy wierzchem rękawa starego, wysłużonego już płaszcza. Nagle z tłumu wyszedł mężczyzna po trzydziestce. Okazało się, że był to właściciel młyna. Powiedział, że młodzieniec, za to jak potraktował tę kobietę, ma zakaz wchodzenia do jego młyna, dopóki jej nie przeprosi. Zastrzegł również, że dodatkowo rozmówi się z jego ojcem, który był człowiekiem dobrym i honorowym.

Młodzieniec wiedział, że tym razem przebrała się miarka i ojciec nie puści płazem jego postępowania. Rodzice młodego panicza postanowili nauczyć syna szacunku dla innych. Miał odpracować ten dzień u młynarza, pakując w worki mąkę biednym ludziom, którzy mogli ją w tym dniu taniej kupić. Przeprosił kobietę i razem z zarządcą młyna, który miał nadzorować jego pracę, pakował worki z mąką. Pierwszy raz w swoim życiu miał na swoich wypiełgnowanych dłoniach pęcherze. Był to dla niego ciężki dzień. Wieczorem nie czuł rąk i pleców. Ból był bardzo dotkliwy, zwłaszcza dla kogoś nieprzyzwyczajonego do ciężkiej fizycznej pracy.

Listy panny Laury

Brema, 17 sierpnia 1914 r.

Drogi Edmundzie!

Pisząc ten list, chciałabym opisać, jaka Brema jest piękna o tej porze roku. Jak codziennie do portu przyplływają nowe statki zwożące tutaj skarby z dalekich zakątków świata. Jak miasto wcześniej rano się budzi i jak jeszcze przed wschodem słońca rybacy wsiadają na kutry, licząc na owocny połów. Chciałabym jeszcze napisać o tym, jak pogoda rozpieszcza mnie podczas pobytu w miejscu moich narodzin oraz wczesnego dorastania. Lecz gdybym umieściła w tym liście te słowa, skłamałabym. Obraz Bremy, jaki powyżej przedstawiłam, jest obrazem zapamiętanym z wczesnej młodości, gdy opuszczałam to miasto, mając zaledwie trzynaście lat.

Po sześciu latach znów jestem w Bremie i choć wszystko jest tutaj w takim samym porządku, jaki panował przed moim wyjazdem, miasto nie fascynuje mnie tak jak kiedyś. Budynki, rzeka i port, a nawet codzienne czynności ludzi tego miasta, których od czasu do czasu obserwuję, pozostały niezmiennie. Nie mogę tego powiedzieć o moim życiu, bo opuszczając Bremę, byłam panienką, a wracając tutaj, mam już narzeczonego. Teraz, niestety, z wielkim smutkiem stwierdzam, że choć Rupert towarzyszy mi w podróży do Bremy, moja miłość pozostała w Bielawie...

Będąc trzynastolatką, opuściłam miasto rodzinne, Bremę, na rzecz niewielkiej miejscowości, Bielawy, znanej głównie z tego, że zaopatruje ona rynek niemiecki w wyroby włókiennicze. Zamieszkałam w pałacyku wraz z matką i ciotką, ojciec – jako że był zafascynowany polityką i oddany polityce – przebywał większość czasu w Berlinie. Na początku bardzo trudno mi było zasymilować się w nowym miejscu zamieszkania. Nie miałam tu bliskich znajomych, z którymi mogłabym spędzić

dzać wolny czas, nie znałam okolicy, a ojciec z matką utrudniali mi kontakty z ludnością, tłumacząc, że „takie osoby jak my nie powinny utrzymywać bliskich kontaktów z klasą robotniczą, bo psułoby to naszą reputację”. Jednak gdy rodzice wyruszyli na jedną z politycznych wypraw ojca i zostałam w pałacyku jedynie z ciotką, ta pewnego ranka porosiła mnie, abym idąc wzdłuż potoku, zeszła niżej, w głąb miejscowości, wstąpiła do młyna i złożyła zamówienie na wór mąki. Tam, Edmundzie, spotkałam Cię pierwszy raz. Nie zapomnę, jak opuściłam młyn, czerwieniąc się ze wstydu, gdy zwróciłeś mi uwagę, kiedy ja bezwiednie wpatrywałam się w Ciebie jak w obraz. Złapana na gorącym uczynku zaczerwieniłam się, a Ty powiedziałeś, że wreszcie dostałam jakichś kolorów i można mnie dostrzec wśród składu tamtejszej mąki. Opuściłam młyn w pośpiechu, zapominając o czekaniu na informację, kiedy można odebrać zamówiony towar. Gdy już ochłonęłam, wróciłam i otrzymałam termin odbioru, ale niestety już Cię tam nie zastałam. Następnego dnia mąka sama zjawiała się u progów pałacyku, chociaż do realizacji zamówienia pozostało jeszcze kilka dni, a wraz z mąką, jako kurier, zjawiłeś się właśnie Ty. Namówiłeś mnie wtedy, Edmundzie, na spacer po okolicy, który przeobraził się w dość długą wycieczkę po całej Bielawie. Kolejne dni wyglądały tak, że wyczekiwałam Cię pod młynem i gdy już kończyłeś pomagać ojcu, zabierałeś mnie w kolejne miejsce, które oczarowywało mą duszę. Z czasem stałeś się mi bardzo bliskim przyjacielem i to dzięki Tobie naprawdę pokochałam malowniczy krajobraz Bielawy. Dziękuję Ci za to z całego serca, ponieważ to był najpiękniejszy podarunek, jaki w życiu otrzymałam.

Edmundzie, tu w Bremie dopadła mnie głęboka depresja. Zdałam sobie sprawę, że nie mogę żyć z Rupertem, ponieważ nie potrafię go kochać. Jest on narzeczonym, którego wybrał mój ojciec, a nie moje serce. Jedynie czego pragnę, to Ciebie, Twoich ramion i ust.

Laura R.

Bielawa, 29 sierpnia 1914 r.

Droga Lauro!

Twój list bardzo mnie zaskoczył. Nie potrafię przelać na papier tego, co kłębi się w mej głowie, ponieważ nie jestem w piórze nawet w połowie tak dobry jak Ty. Spróbuję jednak dać Ci sensowną odpowiedź.

Lauro, uczucie, jakim Cię darzę, jest bardzo wielkie i było takie od pierwszego spotkania. Niestety, jesteśmy dla siebie nieosiągalni. Ja jestem synem młynarza i nieprzyzwoitością byłoby starać się o rękę córki jednego z ważniejszych polityków państwowych. Nie byłbym w stanie zapewnić Ci wszelkich wygod, takich jakie zapewni Ci pan Rupert. Twój ojciec nie wyraziłby zgody na taki związek, przecież wiesz, jakie ma poglądy. Spotkajmy się, jak tylko wrócisz z Bremy.

Edmund L.

PS Wojna trwa, dostałem nakaz stawienia się na komisji wojskowej.

Bielawa, 12 września 1914 r.

Żegnaj, Lauro!

Kochana Lauro, przyjmij ten list jako formę podziękowania. Na mnie przyszedł już czas. Czas, abym stanął w szeregach wojska i opuścił dom. Proszę Cię, abyś nie rozpacziała z powodu naszego rozstania i abyś wiodła szczęśliwe życie z partnerem, na którego zasługujesz. Dziękuję Ci za to, że mogłem dorastać w towarzystwie tak wspaniałego przyjaciela, jakim mi byłaś przez całe życie. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze zobaczę, jak uwieczniasz pejzaże Bielawy, miejsca, które nas połączyło i zapadło w naszych sercach a także stało się naszym domem i schronieniem przed resztą świata. Nigdy nie umkną z mej pamięci pocałunki ostatniej nocy.

Edmund L.

Magdeburg, 3 grudnia 1914 r.

Droga Lauro!

Przeszedłem szkolenie wojskowe w Magdeburgu i w najbliższym czasie moja jednostka zostanie przeniesiona na front zachodni. Żyj dobrze.

Edmund L.

Bielawa, 14 grudnia 1914 r.

Koszary Magdeburskie, do Edmunda Lufra

Edmundzie!

Niech Bóg ma Cię w opiece! Od trzech miesięcy noszę w łonie dziecko. Nie jest ono owocem poczętym przez Ruperta. Wróć do nas zdrowy!

Laura Ratford

Ostatnia wiadomość dotarła do Edmunda Lufra 22 grudnia 1914 r., w dniu, w którym jednostka magdeburska została przeniesiona na front zachodni. Edmund zdążył odczytać wiadomość, lecz nie zdołał na nią odpowiedzieć. 3 lutego 1915 r. Edmund Lufra został uznany za zaginionego.

W Bielawie 5 czerwca 1915 r. na świat przychodzi zdrowa dziewczynka, Karolina Wisee, urodzona przez Laurę Wisee (Ratford).

1 października 1918 r. do Bielawy wraca głowa rodziny Ratfordów. Matka Laury wraz z ciotką Elizą przygotowały na tę okazję uroczysty obiad z tego, co były w stanie dostać na bielawskim rynku, oraz z własnych hodowli i upraw. Kryzys spowodowany długoletnią wojną nie pozwalał na wykwintne dania, choć rodziny Ratfordów i Wisee'ów i tak nie zdołały zjeść wszystkiego, co znajdowało się na stole. Czas po posiłku ojciec Laury postanowił spędzić w gabinecie, w którym rozmyślał o kapitulacji Bułgarii oraz o tym, jak dalej potoczy się los Wielkiej Wojny. Zmęczony, chce oddać się lekturze i wybierając z regału książkę, trafia w niej na plik korespondencji Laury z Edmudem.

Ojciec Laury jest człowiekiem bez skrupułów, który w stosunku

do innych osób często przekracza wszelkie prawa i normy, nie uznaje czyjejs prywatności, prócz swojej, nadużywa swej władzy urzędniczej i jest osobą znaną z porywczosci, gwałtownosci oraz niedotrzymywania obietnic. Natrafiając na listy, postanawia je przeczytać. Były to listy, które Laura otrzymywała od Edmunda, oraz kopie własnych wiadomości. Treść korespondencji spowodowała, że krew w żyłach ojca Laury zawrzała. Nad kominkiem znajdował się przekazywany z pokolenia na pokolenie w rodzinie Ratfordów krótki miecz. Był on misternie zdobiony i miał grawer własnej nazwy: „castias”, co znaczy: „czystość”. Tomas, bo tak zwał się ojciec Laury, chwycił miecz i umieścił go za pazuchą. Wyszedł z gabinetu. Naprzeciwko Tomasa stanęła trzyletnia Karolinka. Chwycił ją i podniósł ku górze, dokładnie się jej przypatrując. Szukał chociaż jednego znaku podobieństwa do Ruperta, ale niestety nie potrafił go znaleźć. Spojrzał jeszcze raz w oczy małej Karolinie, a ta obdarzyła go niewinnym uśmiechem, pełnym dziecięcej czystości i radości. Tomas odstawił ją z powrotem na ziemię, po czym na swej drodze spotkał Laurę porządkującą jadalnię po uroczystym posiłku. Tomas zaproponował córce spacer, na co Laura przystała.

Dzień był bardzo chłodny, więc Laura wdziała długi czarny płaszcz dość mocno kontrastujący z jej bladą cerą i jasnymi włosami. Wolno poruszali się wzdłuż potoku w górę. Mijając wszelkie oznaki egzystencji człowieka, szli dalej, głębiej zanurzając się w las. Rozmawiali o wojnie, jak zmieniła ich życie, oraz o tym, co może się stać po zakończeniu konfliktu. Ojciec z córką byli już bardzo daleko od zabudowań i dookoła był tylko las, a pomiędzy drzewami wił się strumień.

W pewnym momencie Tomas przystanął i oznajmił Laurze, że zna prawdę dotyczącą jej dziecka. Wyciągnął zza pazuchy rodowe ostrze i uwolnił demona, jakiego skrywał w sobie od lat. Chwycił kobietę i rzucił nią o ziemię. Z jej gardła wydobywał się błagalny, a zarazem przeraźliwy jęk. Walczyła o życie, bo przecież miała dla kogo żyć. Oslaniała się przed ostrzem gołymi rękami, ciętymi każdym kolejnym ciosem. Wzywała pomocy, lecz jej głos był niesłyszalny. Szarpana za włosy wydała z siebie ostatni krzyk wyrażający chęć życia. Z nadzieją, że ktoś jej pomoże, krzyczała, aż jej gardło zostało

rozprute, a ona sama spoczęła w potoku. Potoku, który już w ciszy niosąc wodę zabarwioną krwią, zaniósł do Bielawy smutną wieść.

Tomas wstał i skierował swe kroki w głąb lasu. Od tamtego czasu nikt go już nie widział.

Córka młynarza

Kilka lat temu, kiedy jeszcze nie byłam obarczona rodziną ani tak zaabsorbowana pracą zawodową jak obecnie, bardzo lubiłam wędrować po naszych Górach Sowich. Wykorzystywałam każdą nadarzającą się ku temu okazję i oczywiście słoneczną pogodę. Napawanie się urokiem gór w czasie deszczu nie jest już aż taką wielką atrakcją – wówczas na pierwszym miejscu zdecydowanie stawałam inne przyjemności.

Pewnego letniego niedzielnego popołudnia, aż „nosiło” mnie po domu, aby czym prędzej wyruszyć na dłuższą wędrowkę. Tym razem wybór padł na Kalenicę. Wraz z Krzysiem, moim ówczesnym narzeczonym, a obecnie mężem i ojcem naszych dzieci, pojechalismy autobusem komunikacji miejskiej, aż do końcowego przystanku w Bielawie i ruszyliśmy w stronę Leśnego Dworku.

Szliśmy wzdłuż wartko płynącego potoku Bielawica, przy którym stoi wielki biały dom z czerwonym dachem. Otaczają go piękne zielone drzewa, a na horyzoncie rysują się wierzchołki gór. Miejsce piękne, ale niezbyt przyjazne do zamieszkania, bo otoczona zewsząd górami ulica przez większość dnia pozbawiona jest słońca. Trzeba to miejsce pokochać, albo też nie mieć innego wyboru, by tam żyć.

– Popatrz, Krzysiu – wskazałam na budynek. – Wygląda na taki solidny, a pewnie groził zawaleniem, bo podparli go tutaj od dołu takimi wspornikami.

Mój narzeczony jakoś nie zainteresował się tym szczegółem budowlanym.

– Podparty, to podparty – skwitował i poszliśmy dalej.

Po chwili okazało się, że takie same podpory są z drugiej strony, od gór. Czemu od gór? Przecież pod górę się nie zawali! Przystanąłam na chwilę i zaczęłam się im przypatrywać. Nagle usłyszałam ciche:

– Guten Tag.

Teraz dopiero zauważyłam staruszkę, która opierała się o barierki zabezpieczające brzeg potoku oddalonego o kilka metrów od ulicy. Odruchowo odpowiedziałam jej również po niemiecku.

Pomarszczona buzia starszej pani rozpromieniła się serdecznym uśmiechem. Nagle zrobiła się o kilka lat młodsza.

– Pani zna niemiecki? – spytała.

– Znam, ja uczę niemieckiego.

Niemka miała wyraźną ochotę na pogawędkę. Podeszliśmy do niej, co przyjęła z wyraźnym zadowoleniem.

– Wie pani, ja urodziłam się w tym domu. Tutaj był młyn, a mój tata był młynarzem. Pamiętam, że każdego ranka wychodził z domu, stawał tu, gdzie my teraz, i patrzył na potok. Sprawdzał, jaka jest woda. Jak płynęła duża i bystra, tak jak dzisiaj, to można było uruchamiać młyn. Kiedy jednak jej strumień był mały i mniej wartki, tata czekał, aż przyjdzie jego pomocnik, który uczył się na młynarza i mówił do niego: „Hans, biegnij do stawu i puszczaj wodę”. Hans biegł, a po chwili potok aż huczał od pędzącej w dół wody. Tata podnosił stawidło i silny strumień uderzał w łopatki wielkiego drewnianego koła, które zaczynało się obracać.

Starsza pani uśmiechnęła się do swoich wspomnień i zamilkła. Po chwili wróciła do terażniejszości.

– Ja jestem Helga – przedstawiła się, wyciągając rękę.

Poczułam jej drobną dłoń w swojej. Uścisk miała jeszcze nadspodziewanie silny.

– Agnieszka – przedstawiłam się i ja.

Rozmowa trwała już dosyć długo i stojący z boku Krzys, który nie wszystko rozumiał, zaczął już przestępować z nogi na nogę, wyraźnie się niecierpliwiąc.

– Przejdź się może do góry, tam ponoć był staw. Zobacz, co z niego zostało. Ja jeszcze porozmawiam z panią. W końcu to jest kontakt z żywym językiem – nieco obłudnie usprawiedliwiałam swoją prośbę.

Prawda była taka, że mnie ta miła starsza pani zaciekaowała i chętnie zostałabym z nią dłużej.

Pani Helga przysłuchiwała się naszej rozmowie i teraz ona nic nie rozumiała. Po chwili podjęła swoją opowieść:

– Bardzo kochałam ten nasz młyn. Tutaj zawsze coś się działo. Wszystko huczało, dudniło i trzęsło się, a my zawsze byliśmy wybieleni mąką, która dostawała się aż do mieszkania. Najpiękniejszy jednak był zapach. Nic tak ładnie nie pachnie jak świeżo zmielona mąka. Jeszcze teraz wyraźnie go czuję. To jest zapach najpiękniejszych lat mojego dzieciństwa. Kiedy wracałam ze szkoły, to zawsze miałam jakiś powód, by kręcić się po młynie. Jak już nie było powodu, to brałam szczotkę i zamiatałam podłogi, obserwując ukradkiem, jak Hans spogląda na mnie co chwilę, dźwigając worki ze zbożem lub z mąką, albo wożąc je na specjalnym wózku o dwóch kółkach.

Tego wózka używał rzadko, myślę, że tylko wtedy, gdy mnie nie widział. Przeważnie popisывał się swoją siłą, wiedząc, że go podziwiam. Podchodził do mnie, zabierał mi szczotkę i śmiejąc się, mówił: „To nie dla twoich ślicznych rączek robota. Ja pozamiatam”.

Miałam siedemnaście lat, on osiemnaście i bardzo się lubiliśmy. Tata spoglądał na nas, udawał, że się gniewa i gonił Hansa do roboty, ale zauważyłam kiedyś, że odwracał głowę i uśmiechał się. Niestety. Pewnego ranka Hans przyszedł ubrany jak do podróży. Trwała wojna i armia upomniała się o niego. Pożegnał się z moim tatą, z moją mamą i podszedł do mnie. Chciał coś powiedzieć, ale tylko zaczerwienił się jak burak, bąknął coś pod nosem i poszedł.

Tata musiał szukać sobie nowego pomocnika. Sam nie dałby rady. Podczas poprzedniej wojny został ugodzony kulą w kolano i prawą nogę miał sztywną. Przyjął wielkiego, rudego chłopaka w moim wieku, który miał jakąś wadę i wiadomo było, że do wojska nie pójdzie. Nawet był miły, ale to przecież nie był Hans. Jakoś wtedy przestałam interesować się młynem.

Od dłuższego czasu dochodziły do nas pogłoski o okrucieństwie bolszewików. Baliśmy się ich wszyscy bardzo, a oni zbliżali się coraz szybciej. Pewnego dnia dostaliśmy polecenie opuszczenia domu.

Tata zaprzągnął dwa nasze piękne bułane konie – jego dumę i chlubę – do wozu, załadował na niego dwa worki mąki (okręcił je starymi podgumowanymi płaszczami, żeby nie namokły ani nie nabierały wilgoci), dwa worki owsa dla koni, pierzyny, ubrania, nieco naczyń i w ostry mróz ruszyliśmy przez przełęcz na drugą stronę Gór Sowich, gdzie miało być bezpieczniej.

Żegnało nas piękne słońce mieniające się w oszronionych bukach i świerkach zwieszających swoje ciężkie, oblodzone gałęzie ku ziemi. Ze ściśniętym ze strachu sercem opuszczałam ten mój dom, teraz dopiero zdając sobie sprawę z tego, jak mi jest drogi. Szczęśliwie nie byłam sama. Byli ze mną tata i mama. Wiedziałam, że nic mi się nie może stać. Niestety, już najbliższe dni pokazały, jak bardzo się myliłam.

Droga na przełęcz była zatłoczona takimi jak my uciekinierami. Jedni jechali na wozach, inni szli piechotą, ciągnąc za sobą wózki lub sanki wyładowane dobytkiem, jeszcze inni prowadzili rowery obwieszane walizkami i tłumokami. Każdy radził sobie, jak potrafił. Siedziałam na tym naszym wozie, pomimo grubego płaszcza marzłam straszliwie i czekałam, kiedy wreszcie przejedziemy przez te góry i znajdziemy jakieś schronienie. Nasze konie, podkute „na ostro”, dobrze odżywione i zapewne też zmarznięte, rwały do przodu i gdyby droga była wolna, to taki przejazd nie zająłby nam dłużej jak dwie godziny. Tymczasem musieliśmy co kawałek stawać i czekać, bo robiły się zatory. Ja ciągle jeszcze nie rozumiałam, dlaczego musieliśmy zostawić nasz ciepły dom i wyjeżdżać. Co mnie obchodziła ta wojna? W miarę jak robiło mi się coraz zimniej, coraz bardziej ponure myśli mnie gnębiły.

Nie wszyscy mieli tak piękne i silne konie jak my. W kolumnie uciekinierów były wozy ciągnięte przez chude, zabiedzone skapy albo przez jednego konia, który z trudem dawał sobie radę pod strome wzniesienia. Zdarzało się, że jakiś wóz zsunął się ze zbocza i zatrzymał dopiero na drzewach, inny stawał nagle w poprzek drogi i trzeba go było przesunąć na pobocze. Wszyscy byli bardzo zdenerwowani i przestraszeni. Dzieci i kobiety płakały, mężczyźni z zaciśniętymi zębami starali się jakoś zapanować nad tym rozgardiaszem, nie żałując przekleństw. Panował istny „sądny dzień”.

W pewnej chwili jadący przed nami wóz zaczął się cofać. Woźnica smagnął konie batem. Jeden z nich skoczył do przodu i przewrócił się. Leżał w poplątanej uprzęży i nie mógł wstać. Tata wręczył mi lejce i ruszył z pomocą. Wraz z pechowym woźnicą zdjęli z leżącego konia uprzęż i nakłaniali go, by wstał. Koń pragnął tego samego. Grzebał gwałtownie kopytami, aż wreszcie znalazł

oparcie i dźwignął się na nogi. Niestety, tata, który stał tuż przy nim, nie zdążył odskoczyć. Przewrócił się pod kopyta i koń go poturbował. Krzyknęłam przeraźliwie, ale to było wszystko, co mogłam zrobić. Zebrani wokół mężczyźni przenieśli ojca na nasz wóz i ruszyliśmy dalej. Widać było jak bardzo cierpi. Był biały jak śnieg i miał zaciśnięte usta.

Nie wiem, jak udało mi się wjechać na przełęcz i potem zjechać w dół. Wraz z innymi schroniliśmy się w dużym gospodarstwie rolnym. Okazało się, że tata ma złamaną nogę i wielki, podbiegły krwią siniak na brzuchu.

Na drugi dzień rano mama poszła szukać pomocy. Ja zostałam z tatą, a ci, którzy nocowali z nami, pojechali dalej. Zanim mama wróciła, tata już nie żył. Mój dotychczasowy świat zawalił się w jednej chwili.

Zostałyśmy w tym gospodarstwie i w tej wsi, gdzie za worek mąki ludzie pochowali mojego tatę. Po paru dniach na podwórku pojawili się jacyś żołnierze. To byli bolszewicy. Zabrali nam konie, a mnie i mamę...

Helga zamilkła, a po jej policzku spłynęła łza. Po chwili od strony Leśnego Dworku zjechał duży „Opel” z niemiecką rejestracją. Wysiadł z niego starszy, ale jeszcze żwawy mężczyzna. Był niskiego wzrostu, miał wystające kości policzkowe i skośnie osadzone oczy.

– Co, mammo, napatrzyłaś się już na ten swój dom? – zapytał.

Pani Helga nie musiała kończyć swojej opowieści. Zrozumiałam aż nadto dobrze, co się wówczas stało, i ona o tym wiedziała. Odprowadziłam ją do samochodu i uścisnęłyśmy się w milczeniu.

Sekretne okno

Była niedziela. Spokój wypełniał Bielawę, a ciszę otaczającą wieś mąciły jedynie rozmowy mieszkańców i śmiech dzieci. Szeroką drogą wiodącą obok Górnego Młyna spacerowały rodziny. Mężczyźni w garniturach i kobiety w obszernych sukniach. Dzieci biegały wesoło, zrywając żdźbła traw. Czerwcowe słońce grzało przyjemnie. Nikt z beztroskich spacerowiczów nie miał pojęcia, że ktoś bacznie im się przygląda.

W najwyższej części młyna, przy okienku na poddaszu siedziała Marylka, żona młynarza. Często obserwowała okolicę. Patrzyła na małe domki i gospodarstwa, wysoką wieżę kościoła, fabryczne kominy, łąki, na których pasły się krowy, a czasem nie mogła oderwać wzroku od szumiących lasów i gór otulających Bielawę. W większości były to widoki niezwykle cieszące oko, wręcz zapierające dech w piersiach – tylko na widok dzieci Marylce szybciej biło serce.

Kobieta marzyła o dziecku i modliła się o nie żarliwie, ale widocznie Bóg miał dla niej inne plany. Siadywała więc w oknie i przyglądała się uśmiechniętym rodzinom, które nawet nie zdawały sobie sprawy, jak wiele szczęścia zostało im podarowane. Wbijała wzrok w kobiety z dziećmi, niektóre już z wnukami, choć były niewiele starsze od niej. Zazdrościła im, bo jej do tej pory nie był dany ten cud, jakim jest dziecko. Miała w sobie wielkie pokłady miłości, które pragnęła przelać na ukochane maleństwo.

Roch, młynarz, znał pragnienia żony, ale nie mógł nic poradzić na jej cierpienie. Tak jak ona zawierzał swe tęsknoty Bogu. Marylka co niedzielę składała białe lilie pod figurką Matki Bożej Pani Bielawskiej, prosząc, by w końcu pod jej sercem zaczęło rosnąć wyteśknione dzieciątko. Przynosiła swe prośby od wielu lat, a ludzie szeptali różne rzeczy za jej plecami.

Niektórzy widząc jej łzy, odwracali wzrok i wspominali ją w mo-

dlitwach, większość jednak miała zupełnie inne zdanie na temat tragedii Marylki i Rocha.

Mimo dużej pobożności i bogobojności większość mieszkańców była przesądna i wierzyła w najróżniejsze zabobony, a jak wiadomo, młynarze byli uważani za skąpców i oszustów. Prostym ludziom wydawali się tajemniczy. Przy swojej pracy wykonywali czynności, które dla innych były niezrozumiałe. Zdawało się, że młynarze posiadają jakąś nadprzyrodzoną moc, niekoniecznie pochodzącą od Stwórcy. Rocha skrycie posądzano o kontakty z siłami nieczystymi i składanie ofiar wodnikowi – demonowi wody. Za potwierdzenie swych przypuszczeń brano fakt, że małżeństwo było bezdzietne. Sądzono, że to kara za pakt z ciemnymi mocami.

Roch i Marylka domyślali się, co o nich myślą, a i niejedna plotka dotarła do ich uszu, ale nie przejmowali się tym. Młynarzy w każdej osadzie traktowano jak obcych. Zazdroszczono im i trochę się ich bano. Bielawscy młynarze nie sądzili, że te opinie staną się wkrótce przyczyną ich problemów. Ludzkie gadanie tak bardzo się nasiliło, że wkrótce mało kto zaglądał do Górnego Młyna. W Dolnej Bielawie stał Stary Młyn i tam zaczęto jeździć, by mleć zboże.

Mijały miesiące. Stosunki mieszkańców z Marylką i Rochem były bardzo chłodne. Wprawdzie nie zostali o nic publicznie oskarżeni ani napiętnowani, ale nikt nie przyjeżdżał do młyna ani ich nie odwiedzał. Na ulicy wymieniano z nimi sztywne „dzień dobry” i nic poza tym.

Życie w Górnym Młynie płynęło jeszcze spokojniej niż kiedyś, o wiele skromniej i niestety dużo smutniej. Marylka nadal przychodziła na mszę z kwiatami i prosiła Bielawską Panią o cud, ale jej prośby nie zostały wysłuchane. Coraz częściej siadywała na poddaszu młyna i płakała, obserwując spacerowiczów. Uczestniczyła w ich życiu od tylu lat, a oni nawet o tym nie wiedzieli. Widziała, jak dzieci, które dopiero pojawiały się na świecie, potem rosły i stawały się coraz starsze, aż w końcu same doczekawały się potomstwa. Isia dopiero co chowała się za spódnicą mamy, a teraz była mężatką i prezentowała okazały, wystający brzuszek. Marylka przyglądała się jej z zazdrością, szybko jednak zganiła się w myślach za takie niepobożne zachowanie i westchnęła z żalem. Starła się powstrzymać

łzy, ale one same płynęły jej po policzkach. Wbiła wzrok w kościelną wieżę i znowu prosiła Matkę Bożą o wysłuchanie jej próśb.

Taką właśnie, zapłakaną i wpatrzoną w horyzont, zastał mąż. Objął ją ramieniem i razem patrzyli w dal. Siedzieli tak dłuższą chwilę, aż Roch przerwał ciszę:

– A może byśmy wyjechali stąd? Gdzieś, gdzie będzie nam lepiej.

– Nie – rzekła złękniiona żona. – Gdziekolwiek byśmy odeszli, to cierpienie i tak zabierzemy ze sobą.

Mąż nie pytał o nic więcej. Marylka miała rację. Żal i smutek dopadłyby ich wszędzie i zatrwały ich kolejny dom, ale nie to ją tak przeraziło w propozycji męża – przestraszyła się, że miałyby opuścić Najświętszą Panią. Oczywiście wiele było jej rzeźb, figur i obrazów, w każdej świątyni jest ich mnóstwo, ale Bielawska Pani była tylko jedna i to właśnie jej Marylka zawierzyła swe błagania i mimo upływu lat nadal za każdym razem, gdy składała kwiaty przy figurze, patrzyła na nią z nadzieją.

W pewien czerwcowy poranek Roch z bukicikiem fiołków wspiął się na poddasze młyna. Marylka oczywiście wyglądała przez okienko. Gdy mężczyzna podszedł do niej, spostrzegł, że jest cała zapłakana. Wręczył jej podarunek. Uśmiechnęła się smutno. Nie miała powodów do radości – skończyła czterdzieści cztery lata i czuła się stara, niepotrzebna i bezwartościowa. Bardziej niż zwykle była pewna, że już nigdy nie zostanie matką. Na myśl o tym fala łez zalała jej twarz.

Roch otarł jej policzki i przytulił mocno. Mógł się jedynie domyślać, co jest powodem tak wielkiego cierpienia, ale nie zamierzał żony o nic pytać. Wiele widział w jej oczach.

– Serce mi pęka, gdy widzę cię taką – rzekł w końcu.

– Nie ma już dla mnie nadziei. Już nigdy... – Kobieta wybuchła rozpaczliwym płaczem, nie mogąc dokończyć zdania.

– Zawsze jest nadzieja. – Roch zmusił się do uśmiechu. Marylka zaprzeczyła ruchem głowy. Przepłakała jeszcze kilka dni, a w niedzielę ścięcia wszystkie białe lilie, zaniosiła do kościoła i złożyła przed ołtarzem. Jeden kwiat ofiarowała Matce Bożej wraz ze swoim cierpieniem i wszystkimi łzami. Gdy wróciła do młyna była już inną kobietą, smutną, ale spokojną. Roch pomyślał, że wypłakała już wszystkie

łzy i choćby chciała, nie mogła uronić ani jednej.

Marylka przeżyła już swoją żalobę, choć teraz izby w domu wydawały jej się cichsze i bardziej puste niż zazwyczaj. Nie płakała, nie rozpaczała i nie prosiła już o dziecko. Pogodziła się z gorzką prawdą, za to Roch modlił się dwa razy żarliwiej niż do tej pory. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że jeszcze nie wszystko stracone.

Sierpień tego roku był wyjątkowo upalny. Żar odbierał wszystkim energię i nawet Rochowi zdarzało się zdrzemnąć popołudniami, choć normalnie nigdy tego nie robił.

Pewnego dnia, gdy drzemał w fotelu przyśniła mu się Bielawska Pani. Trzymała w ręce dwie białe lilie i choć nie poruszała ustami, Roch dobrze słyszał jej słowa.

– Obudź się. Pomóż jej.

Młynarz poderwał się z fotela i od razu pobiegł na poddasze. Marylka leżała na podłodze niedaleko swojego sekretnego okna. Roch pochwycił ją na ręce i wyniósł z dusznego pomieszczenia. Położył żonę na łóżku i skropił jej twarz zimną wodą. Kobieta powoli dochodziła do siebie. Mówiła, że nic jej nie jest, że to ten upał, ale mąż i tak posłał po doktora. Ten zbadał Marylkę dokładnie i miał same dobre wieści. Wyśmienite wręcz – żona młynarza spodziewała się dziecka. Małżeństwo nie posiadało się z radości. Niedowierzali w swe szczęście. Marylka bardzo dbała o siebie i codziennie dziękowała Bogu i Bielawskiej Pani za wysłuchanie jej prośby.

W mroźny styczniowy poranek na świat przyszedł śliczny chłopczyk i równie śliczna dziewczynka. Rodzice płakali i uśmiechali się jednocześnie. Z trudem wierzyli w ogrom szczęścia, jaki ich spotkał, podobnie jak mieszkańcy Bielawy. Dawne przesady poszły w niepamięć i wszyscy przychodzili obejrzeć dwa małe cuda. Młyn tętnił życiem i w każdym kącie rozbrzmiewał śmiech, a cisza i smutek już nigdy nie miały w nim zagościć. Pod figurą Bielawskiej Pani zawsze stały świeże białe lilie, a sekretne okno Marylki już na zawsze pozostało puste.

Pod Górnym Młynem

Dawno temu, kiedy jeszcze funkcjonował Górny Młyn, do Bielawy przyjechała czteroosobowa rodzina z Afryki. Dwóch dorosłych synów – Willy i Anthony, dwuletnia siostra – Mary oraz matka – Luiza. Dzieci nie miały ojca, ponieważ poszedł na wojnę i już nigdy nie wrócił. Bardzo im go brakowało, Była to uboga rodzina. Nie miała pieniędzy na wynajęcie mieszkania, więc zakwaterowała się na strychu domu nieopodal wodnego młyna zbożowego.

Pewnego wieczoru Anthony zdecydował, że razem z Willym będą pracować. Rano założyli swoje najlepsze ubrania i poszli do właściciela młyna. Weszli do biura i zapytali pracodawcę, czy mogliby u niego pracować. On powiedział, że może ich przyjąć tylko jako niewolników i głośno się roześmiał.

Zawiedzeni bracia wracając do domu, przeżyli następną niemiłą przygodę (a tego dnia było ich wiele). Spokojnie idąc, usłyszeli głos jakiejś kobiety, która krzyczała:

– PRECZ Z NASZEGO MIASTA! NIE CHCEMY WAS TU!

Wtedy ludzie wyrzeli przez okno i zaczęli wytykać obcokrajowców palcami.

Willy i Anthony opowiedzieli w domu matce o tym, co się stało. Mieli nadzieję, że Luiza postanowi, iż wyjadą z Bielawy i osiedlą się gdzieś indziej, ale powiedziała tylko:

– Całe życie nie możemy się ukrywać przed ludźmi, trzeba ryzykować.

Następnego dnia delegacja bielawian poszła do burmistrza Tadeusza Kowalskiego, żądając, aby wygnał czarnoskórą rodzinę z miasta. Była to dla niego trudna decyzja. Po długim namyśle zdecydował, że zrobi to tylko dlatego, żeby przypodobać się mieszkańcom.

Gdy następnego dnia burmistrz szedł ulicą w stronę domu czarnoskórych, by oznajmić im, że muszą opuścić Bielawę, zobaczył grupę ludzi stojących przed domem cudzoziemców. Przerażony szybko

wbiegł na strych i zobaczył związanych Afrykanów. Głośno krzyknął:

– Stop! Stop! Stop! Przestańcie! Co wy robicie?! Zostawcie ich! To są tacy sami ludzie jak wy! Dlaczego jesteście tacy nietolerancyjni?!

Tłum słysząc te słowa, rzucił się na burmistrza i związał go z czarnoskórymi. Mężczyźni prowadzili związanych ludzi, a kobiety szły za nimi, wykrzykując obraźliwe hasła. Poza murami miasta zostawili byłego już burmistrza oraz czarnoskórą rodzinę i zamknęli bramy. Wtedy Mary zobaczyła jakąś kobietę i zaczęła płakać w nadziei, że ona im pomoże.

Tak jak dziewczynka pomyślała, tak też się stało. Kobieta nazywała się Amelia. Burmistrz poznał w niej swoją dawną narzeczoną, którą kiedyś wygnał, i zrozumiał, jak to jest być wypędzonym ze swojej małej ojczyzny. Amelia pokazała rodzinie Luizy swój drewniany dom z kominem z gliny, który wiele lat budowała własnymi rękoma. Zamieszkali w nim razem. Żyli w zgodzie, radości i dostatku, bo każdy z nich pomagał sobie i szanował się nawzajem.

Za to w mieście nie układało się najlepiej. W ciągu dwóch miesięcy od wygnania czarnoskórych zapanowała w Bielawie epidemia ospy. Mieszkańcy uważali, że to jakieś stare afrykańskie rytuały sprawdziły na nich klątwę. Cierpieli bardzo.

W tamtych czasach nie wiadomo, jak się leczy tę chorobę. Zmarło wtedy wiele starszych osób. Ludzie, którzy chodzili na polowania, rzadko z nich wracali. A w mieście panował głód, ponieważ młyn też trzeba było zamknąć z powodu braku wody w Bielawicy. Był to bardzo ciężki czas, ale...

Bielawianie zrozumieli, że należy tolerować, doceniać i szanować innych ludzi. Nieważne, jaki mają kolor skóry. Liczy się tylko to, co mają w sercach.

Plotka

Tego dnia pogoda była wprost wymarzona. Mnóstwo ludzi chciało być na otwarciu nowego muzeum znajdującego się w starym młynie przy ul. Nowobielawskiej, który już od przeszło dwóch lat aż do teraz stał opuszczony. We wszystkich gazetach i na słupach w mieście widniały ulotki informujące o otwarciu muzeum. Jako pierwsi goście muzeum zwiedziły władze miasta, jak i również policja, lekarze i ich rodziny. W całym mieście mówiono tylko o tym, kto zobaczy wewnątrz młyna szybciej, zwłaszcza, że po jego zamknięciu krążyły plotki o dziwnych rzeczach tam się dziejących. Rozmowy związane z tym wydarzeniem trwały przez co najmniej tydzień.

Pewnego dnia w gazecie miejskiej pojawił się artykuł Kazimierza Małeckiego zatytułowany „Zamknięta sala”. Brzmiał on tak: „Siedemnastego maja 1899 r. otwarte zostało pierwsze muzeum w Bielawie. W czasie zwiedzania nagle zamknięto jedną z sal. Gdy spytano obsługę o okoliczności tego zdarzenia, nie chciała ona udzielić żadnej informacji. Tajemnicze wydarzenie nie zostało do dnia dzisiejszego wyjaśnione”.

Muzeum zostało zamknięte na miesiąc. Potem przyjechała wycieczka z Owiesna. Dzieci z trzeciej klasy szkoły podstawowej nie wiedziały o zamkniętej sali. Przechodząc obok niej, usłyszały dziwne odgłosy. Wychowawczynie nie uwierzyły dzieciom, bo myślała, że to ich obrażenia lub żarty. W kolejnych dniach przez muzeum przewijały się tłumy. Wszyscy słyszeli dziwne szmery, hałasy i odgłosy upadających przedmiotów. Obsługa również i tym razem nie udzielała informacji, nawet dziennikarzom. Afera związana z dziwnymi zdarzeniami ucichła po kilku miesiącach. Mieszkańcy Bielawy nie zwracali już uwagi na skrzypienie i inne odgłosy dochodzące z zamkniętej sali.

Pewnego dnia do miasteczka przyjechał znany dziennikarz z Gdańska, Piotr Kowalczyk. Dowiedział się o dziwnej sytuacji w muzeum i dlatego postanowił wybrać się do owego młyna. Przed wejściem do

niego usłyszał od mieszkańców wiele niestworzonych historii. Ciekawy wydarzeń postanowił zbadać sytuację. Podając się za detektywa, otworzył zamkniętą salę. Wszedł do niej, rozejrzał się i wyszedł. Gdański dziennikarz również nie uzyskał żadnej informacji.

Mieszkańcy byli zaskoczeni kolejnym artykułem w gazecie „Wiadomości Bielawskie”, gdzie napisano, że w muzeum jest niebezpiecznie, bo podobno jest ono nawiedzane przez ducha młynarza, na którego spadło obluzowane koło młyńskie.

Ta wiadomość wstrząsnęła bielawianami. Burmistrz był zasypywany listami ze skargami. Całe miasto wpadło w panikę. Po pewnym czasie z Gdańska przyjechał ponownie dziennikarz Piotr Kowalczyk, który chciał odkryć tajemnicę młyna. Jako pierwszego odwiedził burmistrza.

– Witam pana, panie burmistrzu – przywitał się dziennikarz. – Posiadam informację dotyczącą muzeum. Może ona pana zainteresuje.

Burmistrz podniósł się z krzesła.

– Dzień dobry – powiedział wyniośle. – Jeśli chodzi o muzeum, nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Nic tam nie straszy. Ktoś po prostu rozsiewa plotki. W muzeum prowadzone są jeszcze prace remontowe w związku ze zbliżającą się wystawą – wyjaśnił.

Wkrótce muzeum zostało zamknięte z powodu braku zwiedzających. Nikt już nie słyszał dziwnych odgłosów. Z czasem cała afery ucichła, a budynek zaczął straszyć pustką.

Historia ta okazała się być zmyślna, ale budynek młyna stoi przy ul. Nowobielawskiej aż do dziś.

Bielawa kiedyś, Bielawa dziś

Malownicze miasteczko Bielawa położone było u podnóża górskiego lasu. Przez środek ciągnęła się wyboista droga ogrodzona płotkiem oddzielającym łąkę, przy której stał młyn z kołem, do którego przy-mocowane były drewniane deski. Napędzany był wodą.

Niewielka ilość mieszkańców poubieranych w kolorowe stroje: piękne suknie dla kobiet, barwne spodnie i surduty dla mężczyzn. Był podział prac. Mężczyźni zajmowali się stolarką, pomagali im synowie. Prace prowadzili od rana do południa. Kobiety prowadziły gospodarstwa, zajmowały się domami. Gotowały, prały, sprzątały. Po obowiązkach spotykały się pośrodku drogi na pogaduszkach. Przy pięknej łące rozprawiąły o trudach dnia codziennego.

Ludzie prowadzili także drobne uprawy rolne. Po zbiorach urzą-dzali wspólne ogniska, tańce i przyśpiewki. Kiedy zbliżała się jesień, rozpoczynały się wspólne wycieczki na grzyby, jagody i jeżyny.

Po wielu latach miasteczko bardzo się zmieniło i rozrosło. Zain-vestowano w przemysł bawełniany znany w całej Europie. Powstały nowe miejsca pracy. Pobudowano osiedla. Powstała komunikacja, ośrodki zdrowia, supermarkety, piekarnie i sklepiki spożywcze. Jest rynek, kościół i park. Mamy także bibliotekę, basen i wieżę widoko-wą.

Ostatnia wola młynarza

Tak pięknego młyna jak młyn starego Jakuba próżno by szukać w całej okolicy. Szum wody przelewającej się po młyńskim kole i drzewa szumiące w pobliskim lesie działały kojąco na ludzkie serca.

Młyn był najważniejszy w życiu Jakuba, nie licząc jego jedynego syna, Karola. Największym marzeniem młynarza było to, aby Karol przejął po nim obowiązki i poprowadził rodzinny interes. Wysłał więc syna na nauki do stolicy.

Młynarz był bardzo dobrym i uczynnym człowiekiem. Ludzie go lubili i szanowali. Niestety, byli też i tacy, którzy zazdrościli mu młyna. Najgorszym z nich był sąsiad Jakuba – Harold. Nie mógł on ścierpieć szczęścia młynarza. Każdego dnia, gdy przechodził przez mostek niedaleko młyńskiego koła, zazdrość zalewała mu serce. A dobroć Jakuba i jego miłe słowa dolewały oliwy do ognia. Aż wreszcie Harold postanowił za wszelką cenę odebrać młyn Jakubowi. Od starej zielarki, która mieszkała w lesie, kupił trujące zioła mieszające rozum w głowie. Zaprosił sąsiada na kolację. Robiąc Jakubowi herbatę, dosypywał mu trucizny do kubka. Nie trzeba było długo czekać, aby młynarz zaczął mówić „od rzeczy”. Wtedy Harold, udając Karola, kazał Jakubowi podpisać dokument, w którym przekazywał mu młyn. Nieszczęsny młynarz, nieświadomy tego, co robi, podpisał podsunięty papier.

Na drugi dzień zadowolony Harold przyszedł do młyna z tym dokumentem. Gdy Jakub zobaczył swój podpis, strasznie się rozchorował.

Dobrzy ludzie nie pozwolili Haroldowi wyrzucić umierającego Jakuba z młyna i posłali po Karola. Ten przyjechał do ojca najszybciej jak tylko mógł. Zastał go ledwo żywego na łóżku. Młynarz ze łzami w oczach opowiedział, co się stało. Nie mógł pogodzić się z tym, że młyn, który przechodził w rodzinie z ojca na syna, trafi w obce, jakże złe ręce. Kazał przysiąc Karolowi, że odzyska młyn. Powiedział sy-

nowi, że jego dusza nie zazna spokoju, póki się to nie stanie. Po tych słowach wyzionął ducha.

Syn strasznie rozpaczał po śmierci ojca, ale musiał spełnić jego wolę, aby dusza młynarza nie błąkała się po świecie. Wymyślił więc pewien podstęp, a o pomoc poprosił dobrych sąsiadów. Zaprosił Harolda na rozmowę do młyna pod pretekstem, że chce obejrzeć dokument. Kiedy Harold, który miał serce twarde jak gład, przyszedł do młyna, zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Słysząc było brzęk łańcuchów, skrzypienie desek, pojękiwania. Po ścianach przemykały jakieś cienie. Na Harolda i Karola zaczęła się sypać mąka. Nagle głos podobny do głosu starego Jakuba powiedział: „Nie dam ci spokoju, albowiem odebrałeś mi sens życia. Od tej pory szum wody na młyńskim kole będzie ci przypominał o niegodziwości, którą wyrządziłeś, a mąka będzie ci się kojarzyć ze śmiercią...”. Po tych słowach ukazała się biała zjawa.

Tego było już Haroldowi za wiele. Myślał, że to duch młynarza przyszedł po niego. Rzucił dokument i wybiegł z krzykiem. Karol podniósł go, podał na strzępy i wrzucił do ognia.

Z zakamarków młyna powychodzili sąsiedzi. Wdzięczny syn obiecał im, że od tej pory będzie meł im zboże za darmo. Potem razem upiekli chleb z mąki zrobionej jeszcze przez starego Jakuba i razem świętowali wypełnienie ostatniej woli młynarza.

A dusza Jakuba zaznała spokoju.

Spis treści

Poezja

Brygida Błazewicz, <i>Stop-klatka</i>	7
Barbara Bulerska, <i>Schadzka</i>	8
Jakub Cieplichowicz, <i>Pod Górnym Młynem</i>	9
Mariusz Dawid, <i>Jesienna Dolina</i>	10
Jarosław Dłużniak, <i>Podróż w czasie</i>	11
Oliwia Fedko, <i>Skrzaty z młynarzowej chaty</i>	12
Marta Gdula, <i>Droga w stronę młyna</i>	14
Aleksandra Głogowska, <i>Moje miasto</i>	15
Adrian Górny, <i>Droga</i>	17
Maria Grabowska, <i>Przeżyte wspomnienia</i>	18
Wiktoria Handwerker, <i>W Bielawie</i>	19
Krzysztof Jadwinczyn, <i>Majowa wyprawa</i>	20
Irena Kmiotek, <i>Przy młynie</i>	21
Piotr Krakowiak, <i>Pod Górnym Młynem</i>	22
Małgorzata Kwiatkowska, <i>Bielawa</i>	23
Igor Machowski, <i>Czekając na deszcz</i>	24
Maria Maciejewska, <i>Wczoraj i dziś</i>	25
Mikołaj Maciejewski, <i>Podróż w przeszłość</i>	26
Zdzisław Maciejewski, <i>W starym młynie</i>	27
Ryszard Mierzejewski, <i>Bielawa - koniec lata, początek wieku</i>	28
Michał Morasz, <i>Zaproszenie</i>	29
Monika Olejnik, <i>Nostalgia koła</i>	30
Aneta Parzoń, <i>Pod Górny Młynem</i>	33
Krzysztof Pasek	34
Natalia Pasek	35
Dominika Porzybót, <i>Święta praca</i>	36
Magdalena Rumin, <i>Magia starej fotografii</i>	38
Izabela Sędziwa, <i>Bielawski młyn</i>	40
Paweł Sobota	42
Alicja Stępień, <i>Przedmieście wspomnień</i>	43

Mikołaj Sulmiński, <i>Spotkanie pod młynem</i>	44
Anna Sulek, <i>Barwy jesieni</i>	45
Nicola Wałachowska, <i>Jest takie miejsce</i>	47
Ewelina Węgielnik, <i>Obraz dziecinnych snów</i>	49
Jakub Wojtanowski, <i>Młyn nad potokiem</i>	50
Monika Zagała, <i>Mała mieścinka</i>	51
Andrzej Ziobrowski, <i>Młynarz</i>	52
Nikola Zuber, <i>Przemijanie</i>	54

Proza

Jolanta Białek, <i>Piekarz</i>	57
Nikola Bielak, <i>Tajemnica ukryta w kufrze</i>	58
Adrian Byczek, <i>Pamiętnik</i>	61
Angelika Capała	64
Julia Cios, <i>Pod wielkim młynem</i>	65
Alicja Froń, <i>W szklanej kuli</i>	68
Justyna Izdebska	70
Julita Janowska	73
Adrianna Kędziak, <i>Słoneczny dzień</i>	74
Nina Kobyłańska, <i>Duch w młynie</i>	75
Milena Kocik, <i>Niesamowity dzień Marcina</i>	77
Olimpia Łosyk, <i>Duch w wodnym młynie</i>	79
Alicja Marchewka, <i>Kobiety z młyna</i>	81
Daria Murawska, <i>Bal przy Górnym Młynie</i>	84
Sandra Nikoniuk, <i>Nie zapomnę</i>	86
Victor Pankowski, <i>Historia starego młyna</i>	89
Radosław Pohl, <i>Historia Helgi i Jana</i>	93
Natalia Pompa, <i>Pod Górnym Młynem</i>	96
Krystian Rycąbel, <i>Tajemnicze zniknięcie</i>	98
Anita Satory, <i>Największy skarb życia</i>	99
Dawid Sobczuk, <i>Spotkanie pod Górnym Młynem</i>	101
Damian Sojka, <i>Poranek</i>	103
Julia Sokalska	105
Wojciech Stalica, <i>Listy panny Laury</i>	107

Agnieszka Szymańska, <i>Córka młynarza</i>	113
Bożena Tomaszek, <i>Sekretne okno</i>	118
Wiktoria Wiśniewska, <i>Pod Górnym Młynem</i>	122
Julia Wujaś, <i>Plotka</i>	124
Wiktoria Wyrzucka, <i>Bielawa kiedyś, Bielawa dziś</i>	126
Tatiana Zawrotniak, <i>Ostatnia wola młynarza</i>	127

W serii *Sudecka poezja i proza* dotychczas ukazały się:

- *Sudecka poezja i proza I, I Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Ryszard Mierzejewski, *Sudecka poezja i proza II, Zraniony różą*, Bielawa 2013.
- Urszula Kowalewska, *Sudecka poezja i proza III, Warkocze*, Bielawa 2013.
- Jan Sitnik, *Sudecka poezja i proza IV, Wspomnienia z Kosowa Huculskiego*, Bielawa 2013.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza V, Im...*, Bielawa 2013.
- Zygmunt Iwaszkiewicz, *Sudecka poezja i proza VI, Vanitas*, Bielawa 2013.
- *Sudecka poezja i proza VII, II Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Zdzisław Maciejewski, *Sudecka poezja i proza VIII, Pejzaże sowiogórskie*, Bielawa 2014.
- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza IX, Bielawa Randka Trzech Sylab*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza X, Bielawa lekcja historii na murze*, Bielawa 2014.
- Tadeusz Żurawek, *Sudecka poezja i proza XI, Zaśpiewam ci pieśń*, Bielawa 2014.